

LIV ULLMANN

# POWRACAJĄCA FALA

TYTUŁ ORYGINAŁU: TIDEVANN  
PRZEKŁAD: HALINA THYLWE



FIKCJE I FAKTY 03-08/1987

## ZMIENIAĆ SIĘ

31 grudnia 1982

Koniec roku spędzam w swoim domku na skalnym urwisku. Po włożeniu na siebie całej masy wełnianych, chroniących przed wiatrem ubrań wychodzę na spacer. Towarzyszy mi mój poczciwy, kochany pies. Wkrótce zapadnie mrok, mimo że pora jeszcze wczesna, tuż po lunchu. Śnieg pokrywa sosny, małe kałuże na granitowej skale ściał mróz.

Rozradowany pies biega w tę i z powrotem, przynosi mi patyki i chce, żeby mu je rzucać. Kiedy nie zwracam na niego uwagi, na moment się zatrzymuje i lekko przekrzywia łeb.

Idziemy po spadzistym szarym głazie. Jest śliski. Po drodze dotykam zniszczonych burzami pni drzew.

Wychyliwszy się nieco do przodu, obserwuję wodę. Poda mną kłębowisko życia, kolorów, ruchu i niebezpieczeństw, czających się pod czarną, sfalowaną powierzchnią.

Właściwie morze nie zmieniło się od czasu, kiedy zwabiona widokiem wody otaczającej mój dom, chodziłam tymi ścieżkami po raz pierwszy. Właściwie nie; chociaż po tym wszystkim, co później przeżyłam, wydaje mi się inne. Widzę je takim, jakie jest i jakie było. Żyje we mnie falująca głębia z dawnych lat i głębia inna, zgodna z moimi obecnymi wyobrażeniami.

W półmroku widzę lśniąca czarne kamienie, które pozostawił po sobie odpływ, i postanawiam poczekać na przyływ.

Towarzyszy mi czas.

Jestem gościem morza, zauroczona bogactwem jego dźwięków, uległa jego rytmowi.

Wieje wiatr, psa przeszywa dreszcz, mimo gęstej sierści chce iść dalej, więc podskakuje, zachęcając mnie do wspólnej wędrówki.

Z uśmiechem przypominam sobie dawne czasy, kiedy zabierałam do łóżka wszystkie moje zwierzątka-zabawki, żeby potem wspólnie żeglować do nieba, do taty. Wspaniale to były podróże!

Zdarza mi się, że nawet teraz wyjmuję kilka zwierzątek z ich zakurzonego tekturowego domku, patrzę na ich szklane oczy i ponadrywane uszy, i zastanawiam się, czy pozostało w nich jeszcze coś z małej dziewczynki, ze mnie, może jakiś zapach, pamięć dotyku...

Pamiętam gorącą czekoladę i tort truskawkowy z bitą śmietaną w mroźny zimowy wieczór.

Pamiętam młodzińcze przyjęcia, na których „butelka krążyła wkoło”, lśniła w ciemnym pokoju wśród rozgorączkowanych, zapłonionych dziewcząt i chłopców. Pocałunki, dreszcze rozkoszy, krótkie spotkania za kanapą lub za drzwiami. Nieporadne pieszczoty w mrocznych korytarzach, w tajemnicy przed innymi.

Wzmógł się wiatr, fale są teraz większe, przystrojone białymi lamówkami.

Pies wrócił do domu i poszczekuje, dając mi do zrozumienia, że wspaniale jest w czterech ścianach. Nie mam ochoty wracać.

Przyływ przynosi to, co zginęło, zatone, co zostało ofiarowane głębinie. Szum szeroko rozlewających się fal niesie pocieszenie w ciemnościach sylwestrowej nocy.

Oddalam się od krawędzi skały, od huku morza, i ze schyloną głową idę w kierunku mojego domku. Pies wychodzi mi na spotkanie.

Zaraz zapalimy światło i ogrzejemy pokój, żeby godnie powitać Nowy Rok.

*Znam kobietę, która otworzyła drzwi i wyszła. Drzwi Ibsena.  
Wiem, co działo się z Norą po odejściu; opuściwszy dom lalki, w dalszym ciągu pozwałała, by inni za nią decydowali.*

Jak wiele kobiet mających dzisiaj około czterdziestki, wzrastałam w środowisku autorytarnym, gdzie było rzeczą oczywistą, że wybór, jakiego człowiek dokonuje w danej chwili, a także jego plany na przyszłość są już zawczasu ustalone.

Jako mała dziewczynka nauczyłam się milczeć i grzecznie zachowywać w towarzystwie dorosłych. Nauczyłam się zmywania i gotowania. Oczekiwano, że będę dobrą żoną, dbającą o męża, rodzącą mu dzieci i że nigdy się z nim nie rozwiodę. Ale kiedy skończyłam siedemnaście lat, w moim rodzinnym mieście pojawił się ruch kobiecy. Wówczas nauczyłam się, że prawdziwa kobieta powinna rozwijać swoje indywidualne umiejętności. Tak więc gdy dorosłam, wszystko, co poznałam wcześniej, zostało zakwestionowane.

Ilekoć czułam się kobietą wolną, jakiś głos mówił mi: „To nie przystoi porządnym dziewczynkom”. A ilekoć byłam grzeczna, inny głos sugerował: „Kobieta wolna robi to, na co ona sama ma ochotę”. Od świtu do nocy, dopóki nie uświadomiłam sobie, czego ja właściwie chcę, musiałam wysłuchiwać tych sprzecznych głosów.

Kobiety mojego pokolenia znalazły się na pograniczu dwóch epok: przed samodzielnym wyborem - i po.

Po wyborze doszedł jednak nowy zbiór reguł, nie związanych bezpośrednio z ruchem kobiecym, pojawiła się presja: nowe idee zwały się na kobiety, które nie bardzo wiedziały, co począć z tą świeżo wywalczoną niezależnością. Kobieta wyzwolona przyłączyła się do innych, równie wyzwolonych, mówiła to, co one, i czytała to samo, co one. Z nowych koncepcji powstała kobieta „wolna”, znająca wszelkie tajniki swojej płci. Nauczyła się, kiedy i gdzie należy coś odczuwać, kiedy i jak stawiać określone żądania. A jeżeli traciła pewność siebie, kupowała kolejną książkę i odszukiwała te miejsca na swoim ciele, o których powiadano, że może się w nich kryć prawdziwa tożsamość. I kiedy wiedziała już wszystko, co tylko można było wiedzieć o teźże tożsamości, oddawała się doskonaleniu własnego ciała, podobnie jak miliony innych kobiet, na tyle uprzywilejowanych, by mieć po temu czas i środki. Napięte mięśnie i jędrne ciało stały się nowymi słowami-kluczami. Kiedy nie powiodły się zabiegi odchudzające, kobieta miała o wiele większe poczucie winy aniżeli przed wyzwoleniem. Niezadowolenie z ciała bądź chwilowy brak pewności siebie, płynące z nieudanych poszukiwań seksualnego spełnienia, przesłaniały inne kłopoty, istniejące w świecie, w którym żyła.

Kobiety, które jakoś przez to wszystko przeszły, dostały jeszcze jedną lekcję: dostosowywanie się z myślą o spokoju własnego sumienia jest rzeczą dobrą, niedobrze zaś, gdy robi się to po to, by dogodzić innym.

Mimo że też przez to przeszłam, nie zawsze miałam odwagę dokonywać wyboru; mimo że istniały w moim życiu możliwości wyboru, często zachowywałam się tak, jakby ich wcale nie było.

Niektórych rzeczy nie da się zmienić: urodziłam się. Jestem częścią fali odpływu i przypływu, która - jak wszystkie inne - rozbija się kiedyś o skały. To nieuniknione.

Ale w tych zakreślonych ramach mam możliwości wyboru, wyróżnia mnie to, jak wybieram albo też jak nie wybieram.

Często pragnęłam zacząć wszystko od początku, jako dziecko, stać się kimś, kim wówczas byłam i przypomnieć sobie, kim chciałam być. Często pragnęłam odnaleźć w sobie tę niewinną dziewczynkę, która wiedziała tak dużo, dopóki nie nauczyła się, co to właściwie znaczy życie.

W pogoni za utraconą niewinnością zamknęłam jedne drzwi. Sądziłam, że szukam sensu życia, lecz zamiast tego odkryłam możliwość wyboru.

Wychodząc drzwiami, nie wiedziałam, że mam już za sobą kawałek drogi.

*Wzruszającą i komiczną zarazem sztukę teatralną „I Remember Mama” przerabia się na musical. Reżyser powiada, że ja i tylko ja mogę zagrać główną rolę. Muzykę ma skomponować Richard Rogers. Twierdzi, że zmusi mnie do śpiewania, mimo że nigdy dotąd tego nie robiłam. Producent natomiast mówi, iż rola Mamy będzie dla mnie czymś nowym w porównaniu z moimi dotychczasowymi portretami kobiet, nękanymi uczuciowymi rozterkami.*

*Chcę zagrać kobietę, która radzi sobie w codziennym życiu. Chcę nieco beztroski i śmiechu. Zmęczyło mnie życie tragiczki, jej samobójstwa, neurozy i oziębłość.*

*Każdego wieczora, grając „Mama”, będę się dobrze bawić wspólnie ze wszystkimi, będziemy śpiewać i tańczyć. Powinno być przyjemnie.*

W premierowy wieczór tv przeprowadza ze mną wywiad.

DZIENNIKARZ: Cześć, witaj!

JA: Miło mi.

DZIENNIKARZ: W Hollywood zrobiłaś klapę. Jak możesz to wytłumaczyć?

JA: Może Hollywood i ja nie pasowaliśmy do siebie.

DZIENNIKARZ: Ale kłapa była totalna. Nie wiesz czemu?

JA: Nie wszyscy potrafią oblecieć dwa studia filmowe w ciągu roku.

DZIENNIKARZ: A co z twoją karierą obecnie?

JA: Nie uważam mojego życia za karierę

DZIENNIKARZ: (śmieje się)

JA: Chciałabym powiedzieć...

DZIENNIKARZ: (przerywając) Mówi się, że jesteś nieśmiała, a przecież masz dziecko pozamałżeńskie i widziano cię w towarzystwie Henry Kissingera. Co ty na to?

JA: (pauza)

DZIENNIKARZ: No, w każdym razie teraz wiedzie ci się chyba lepiej.

Do widzenia. Miło było z tobą porozmawiać.

- Czy mogłabyś coś zaśpiewać? - prosi mnie grzecznie Richard Rogers. - Bardzo mi to pomoże w komponowaniu twoich piosenek.

- Nie mam odwagi.

- Wcześniej czy później będziesz przecież musiała śpiewać - mówi łagodnie stary mistrz. - To musical.

- Poczekaj chwilę, bardzo się wstydzę swojego głosu.

- Niejedno już słyszałem i nic mnie nie zdziwi - pociesza Richard Rogers. - Nic się nie bój. Chciałbym tylko poznać skalę twojego głosu. Zaśpiewaj cokolwiek, na przykład „Happy birthday to you”.

Ten miły człowiek bierze mnie za rękę i patrzy zachęcająco.

Śpiewam.

Widzę, jak na moich oczach Richard Rogers postarza się o dwadzieścia lat.

Krótko po premierze krytyk teatralny „New York Times” dostał wymówienie. Ponieważ napisał miażdżącą recenzję z „I Remember Mama”, mojego pierwszego i jedyne go musi-calu, zastanawiam się, czy by mu nie wysłać telegramu: „My jeszcze jesteśmy. A co z tobą?”

Żeby spektakle mogły być kontynuowane, musical musi przynosić minimum sto tysięcy dolarów tygodniowo, a ten zwolniony krytyk bardzo rzecz całą utrudnił. Kto teraz zechce oglądać gwiazdę, która „kiedy się śmieje, wygląda jak paczka płatków kukurydzianych?”

Kukurydziana gwiazda uważa jednak, że opinia krytyka o tym, co dzieje się na scenie, jest mniej męcząca od czterech miesięcy prób i pokazów przedpremierowych.

Niemal codziennie dochodziły nowe sceny, piosenki i tańce. Po pierwszych dniach

prób, które spędzałam w korytarzu w nadziei, że znajdziemy chwilę czasu na zrobienie paru moich scen (reżyser zajęty pisaniem piosenek i wożeniem dzieci na inne swoje przedstawienie), zaczęłam się zastanawiać, czy by nie otworzyć jakiejś pizzerii albo nie zostać astronautką.

Po pięciu tygodniach nie miałam ani jednej próby, choć to mój musicalowy debiut, ale za to występuję na pokazach przedpremierowych dla normalnej publiczności.

Przerobiony manuskrypt, rozdzielony o trzeciej po południu, próbujemy jeszcze tego samego wieczoru w obecności tysiąca sześciuset widzów.

Nasz strach przenika ściany, nikt nie ma odwagi wejść po przedstawieniu do garderoby, bo ponura mina siedzącego tam producenta może znaczyć tylko zwolnienie.

W ciągu trzech i pół miesiąca przed premierą na Broadwayu dostały wymówienie dwadzieścia dwie dusze, wliczając w to trzy koty i dwójkę ich opiekunów.

Wejściu dla aktorów dajemy nazwę „Drzwi obrotowe”.

Codziennie jakiś kosz na śmieci dostaje moje propozycje zmian, które pracownicy skrobię w bezsenne noce. Reżyser, a jednocześnie autor tekstów piosenek, nie ma jednak najlepszego zdania o tych poprawkach, bo jestem tylko kobietą i na dodatek cudzoziemką. Unika mnie na wszelkie możliwe sposoby, mimo że musical traktuje o norweskich emigrantach, gdzie robię za gwiazdę. Informacji o skandynawskich obyczajach dostarcza mu za to pewna młoda Szwedka, która pokazała już wszystko, co ma jako Playmate miesiąca.

Świeżo nabyte wiadomości reżysera niezwykle interesująco odbijają się na naszej produkcji. Na przykład Mamie przydzielono piosenkę o sztokfiszu. Ile razy śpiewam „ryby z koniakami, ryby z koniakami, gotowane w maśle z czosnkiem i śmietaną”, zawsze wiem, kiedy na widowni siedzą Skandynawowie, bo ich zdumienie jest słyszalne.

Im starszy jest człowiek w tym zawodzie, tym więcej spotyka ludzi, z którymi nigdy już nie chciałby pracować.

W każdy czwartek jakiś mężczyzna pojawia się na ostatnim akcie wyłącznie po to, żeby gwizdać, kiedy jestem wywoływana. Słyszając to po raz pierwszy, denerwuję się tak bardzo, że postanawiam w ogóle nie wychodzić na scenę i nie kłaniać się. Wszyscy uważają, że to głupota, że zachowuję się jak komediantka. Nie znajduję w nikim wsparcia; tylko producent spieszy z kwiatami i butelką szampana, tymi standardowymi lekarstwami, bo gwiazda jest poirytowana.

Pod koniec tego tygodnia, kiedy wychodzę, żeby się uklonić, trzy osoby siedzące w głębi widowni krzyczą „brawo”.

Zastanawiamy się wszyscy, czy gwizdacza ktoś opłacił, a jeśli tak, to kto. Po okrzykach „brawo” zastanawiam się, czy też zostały opłacone, a jeśli tak, to przez kogo.

W każdym razie nawet opłacone „brawo” cieszy gwiazdę, tak niedawno porównywaną z paczką płatków kukurydzianych. A kiedy przychodzi czwartek, gwiazda uśmiecha się tylko z niejakim smutkiem, słysząc gwizdy mężczyzny.

Jeżeli jakaś sztuka, szczególnie zaś musical, idzie dosyć długo, niektórzy jej uczestnicy są znudzeni i dla podtrzymania pierwotnego zapachu wymyślają rozmaite dowcipne niespodzianki.

Na sto pięćdziesiątym przedstawieniu „Mamy”, akurat kiedy mam wejść na scenę, pojawia się w kulisach olbrzymi goryl. Osuwam się na podłogę i krzyczę z przerażenia. Maszynista teatralny podnosi mnie i wypycha na scenę. I kiedy sparaliżowana ze strachu śpiewam „Każdy dzień niesie ze sobą coś pięknego”, słyszę dyskretny kaszel w kulisach i kątem oka widzę, jak rekwizytor ściąga z siebie kostium goryla.

Na ekranie telewizora stojącego w mojej garderobie widzę siebie samą raz za razem reklamującą musical: „Na piosenkach Richarda Rogersa się wychowałam i kto by pomyślał,

że na Broadwayu je będę śpiewała!” Potem uśmiecham się słodko, jak wówczas, kiedy miałam osiemnaście lat (Poproszono mnie o nieodstraszanie przyszłej publiczności swoim „Bergman-image”). Producent reklamówki zażyczył sobie, żebym powiedziała, że mój pierwszy pocałunek odbył się przy akompaniamencie piosenki Rogersa. A tak naprawdę zdarzenie to miało miejsce w kuchni, w mieszkaniu na Elgesetegate w Trondhjem. Liczyłam sobie wtedy lat czternaście, a z drugiego planu dobiegały przytłumione dźwięki „Blue Moon”. Przede wszystkim nasłuchiwałam, czy nie rozdzwonią się dzwony, bo zgodnie z tym, co mówiła mama, powinny to zrobić, gdy spotkam Tego Właściwego. Całujący mnie chłopak podarował mi sygnet z dużą czaszką.

A dwa dni później moja najlepsza przyjaciółka wyznała, że dotykał jej piersi przy wtórze tej samej melodii.

Któregoś wieczoru przed teatrem czeka na mnie w swojej limuzynie z szoferem Woody Allen. Jedziemy na pokaz jego ostatniej komedii, którą oglądamy tylko we dwoje. Prosi mnie, żeby się nie śmiać, nawet jeśli uznam film za śmieszny, bo będzie mu przykro, kiedy nie zaśmieję się z czegoś, co on uważa za śmieszne. Potem kładzie się na podłodze plecami do ekranu, a ja żuję udko kurczaka, przyrządzonego przez jego gospodynię. Po pokazie odwozi mnie do domu. Zapraszam go na „Mamę”, pod warunkiem, że nie będzie się śmiał.

Śmieje się.

W nocy zadzwonił Ingmar. Mówi, że czytał recenzje i że nic nie znaczą.

- Dla aktora rzeczą istotną jest pewna tajemnica, jaką wnosi swoją osobą na scenę - dodaje. - To właśnie przyciąga publiczność.

Tak, łatwo to mówić komuś, kto przeniósł się ze wszystkimi swoimi tajemnicami do Niemiec Zachodnich. Ja natomiast nie mam odwagi spojrzeć na stopy podczas tańca, bo jakiś krytyk napisał, że cały czas liczę kroki.

Ingmar powiada, że powinnam wnosić na scenę radosne tajemnice, więc próbuję to zrobić następnego wieczoru.

Wypada to dosyć niefortunnie w czwartek i na sali siedzi „gwizdacz”.

Zaczynam odczuwać zniecierpliwienie. I nudę. Chciałabym, jako aktorka, żeby wszystko, co dotyczy przedsięwzięcia, w którym uczestniczę, było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach jeszcze przed premierą. Ale jak można tego oczekiwać od reżyserów, wierzących, że problemy powstałe wskutek ich zaniedbań rozwiąże improwizacja. Jeszcze sześć tygodni po premierze jestem zmuszona improwizować. Brak mi moich starych reżyserów, którzy dążyli do tego, by każda scena była zrozumiała. Dobrzy reżyserzy używają aktorów, pobudzają ich wyobraźnię.

Zobacz mnie! Użyj mnie!

Zupełnie jak w życiu.

Po przedstawieniu siadam niekiedy w swojej garderobie i wspominam poprzednie inscenizacje - kiedy co wieczór na scenie nieustannie poszukiwałam granej przez siebie postaci. I nigdy się nią nie zmęczyłam.

O, te cudowne wieczory, kiedy wszystko wspaniale się układa.

Kiedy mam wrażenie, że wypełnia mnie powracająca fala, której nikt ani nic nie powstrzyma. Nic!

Cudowne wieczory, kiedy potrafię grać nie moje namiętności, pozwalając im przepływać przeze mnie.

Kiedy potrafię posłużyć się tym wszystkim, co wiem o swoich własnych odczuciach.

Kiedy potrafię posłużyć się swoim wstydem, głosem i łzami.

Kiedy moje ciało się porusza.

Mimo że wszystko należy do kogoś innego.

Te cudowne wieczory, kiedy na krótką chwilę aktorstwo wzbogaca moje życie.

Kiedy myślę o tym następnego dnia, przypominam sobie odczucia postaci.

Jej płacz, opanowanie i jeden mały krok, kiedy się przełękała.

A potem radość, że potrafię zachować te odczucia do następnych przedstawień.

Zachować coś, czego sama już nie czuję, mimo że to mnie któregoś z tych cudownych wieczorów wypełniła na krótką chwilę inna świadomość.

Ale jak wykorzystywać siebie w tym musicalu? Nie mam ani słów, ani ruchu, którymi mogłabym pokazać, co wiem o postaci, o chłopce, tej nieszczęsnej matce z norweskiej rodziny emigrantów.

Kiedy nie gram i nie pochłaniają mnie rozmaite obowiązki społeczne, jakie spadają na gwiazdę Broadwayu, kiedy nie jestem w kraju i w życiu codziennym jestem norweską matką, spędzam czas z mężczyzną, którego kocham.

To wysoce ceniony naukowiec, pochłonięty stworzeniem maszyny, która z czasem będzie pełnić funkcje ludzkiego mózgu.

Często czyta mi wiersze. Wiele z nich sam napisał. Jest niezwykle metodyczny i robi mi wymówki, kiedy - jego zdaniem - zachowuję się zbyt impulsywnie.

- Nie jesteś wyłącznie wytworem współczesności, Liv - mawia.

Odpowiadam, że chcę żyć teraźniejszością, śmiać się razem z nim, być jak dziecko i przynajmniej przez jeden dzień nie mieć ani przeszłości, ani przyszłości.

- Jesteś wytworem miliardów chwil, istniejących na długo przed twoim urodzeniem. Pamiętaj, Liv, że masz przeszłość, że twoje korzenie tkwią w historii.

Zawsze, kiedy tego słucham, czuję się przygnębiona.

Ale najczęściej rozmawiamy o mózgu. Podczas długich wspólnych spacerów zaglądamy do małych kafejek. Czasem, w chłodniejsze dni, pijemy grzane czerwone wino z cynamonem. Na tych spacerach jestem szczęśliwa: policzki mojego naukowca nabierają koloru, jego włosy czochra wiatr. Swoje duże ciało przenosi małymi, ostrożnymi kroczkami, niemal na palcach.

Tryska radością, kiedy wchodzi do sklepu i kupuje mi książki albo płyty, żeby móc się ze mną podzielić tym wszystkim, co ceni sobie najbardziej. Ale wcześniej czy później zawsze zaczynamy mówić o mózgu.

- Jak myślisz, co będzie pierwszym zadaniem naukowców w przyszłości? - pytam go któregoś niedzielnego przedpołudnia.

Na wino za wcześnie, więc pijemy czekoladę z bitą śmietaną.

Zastanawia się przez chwilę, po czym odzywa się tym swoim jasnym chłopięcym głosem, tak kontrastującym z jego pięćdziesięcioma latami:

- Jestem przekonany, że będzie to poszukiwanie właściwej definicji błędu, który różni organizm żywy od mózgu komputera. Organizm żywy popełnia błędy albo, jeszcze inaczej, wchodzi w kontakt z przypadkiem. W logice komputera przypadek nie istnieje. Ale dzięki błędom możemy się czegoś nauczyć i przekazywać to innym. Błąd jest czymś absolutnie niezbędnym do przeżycia.

Wokół jego pięknie uformowanych ust zebrała się bita śmietana.

- Powiedzmy, że chcesz zabić komara. Ale po zastosowaniu doskonałych środków chemicznych okazuje się, że jeden komar samiec na miliard wychodzi z tego cało. Znajduje samice, też jedyną spośród miliarda i wspólnie dają początek nowej odmianie insektów, odpornej na twój doskonały środek niszczący. Te dwa komary w porównaniu z tymi, które wyginęły, były prawdopodobnie nieudanymi tworamami w grupie, błędami.

Mój przyjaciel długo mi się przygląda.

- A potrzebne są takie nieudane twory? - pytam i dla podtrzymania kontaktu opieram

moje obute stopy na jego butach.

Ze śmiechem opowiada mi o koledze naukowcu, specjalście od żab i ropuch:

- Powinnaś go zobaczyć, jak biega dookoła stawu, gapi się na małe skaczące żabki i wrzeszczy: Próbuje znaleźć nieudany egzemplarz!

Na chwilę milknie i flirtuje ze mną stopami.

- Rozumiesz, Liv, to, co dzieje się wśród owadów, zachodzi też w naszych komórkach. I tego właśnie nauka będzie się chciała dowiedzieć w przyszłości; czemu służy komórka? co właściwie robi?

Długa pauza. Wysuwa swoje stopy spod moich.

- Komputer zawsze odrzuci nieudany twór, ponieważ będzie on sprzeczny z logiką maszyny.

Na myśl o tym smutnieje, a ja, żeby jak najszybciej podzielić się swoimi wiadomościami, pytam:

- A czy Einstein nie powiedział, że Bóg nigdy nie gra w kości? Czy nie mówił, że we wszystkim istnieje porządek?

Mój przyjaciel wpatruje się we mnie, po czym cierpliwie odpowiada:

- Pomylił się. Słyszałaś może o Nielsie Bohrze?

Milczę.

- Gdybyś zrozumiała, co pisze, wiedziałabyś, że jesteśmy podporządkowani przypadkowi i od niego zależni.

Akcentując słowo „przypadek”, podnosi filiżankę z czekoladą i groźnie nią przede mną kołysze.

- Rządzi nami przypadek. Ta tajemnicza gra między molekułami.

Zaczyna szukać pieniędzy, żeby zapłacić rachunek. Wiem, że ma umówione spotkanie i niedługo mnie opuści. Kiedy bierze mnie za rękę i wstajemy od stolika, mówi szybko:

- Nauka nie dysponuje jeszcze odpowiednim słownictwem. Brakuje nam słów, potrzebnych do wyjaśnienia tajemniczych ruchów molekuł.

Przed kawiarnią macha na taksówkę.

- Gdyby nauka dała nam dobrą definicję błędu, byłby to olbrzymi krok naprzód.

Siedzimy w mokrym samochodzie, bo pada deszcz i dach przecieka.

- Czy mamy jakąś szansę na przeżycie wybuchu atomowego?

Wydaje mi się, że to pytanie jakoś się łączy z naszą rozmową. Patrzy na mnie zadowolony. Myślę, że największe wrażenie robię na nim wtedy, kiedy zadaję właściwe pytanie.

- Nie, Liv - mówi. - Ani jeden człowiek nie ma żadnej możliwości przeżycia w tej formie, jaką znamy. Chyba że byłaby to jakaś forma nieudana. Część stworzeń zupełnie do nas niepodobnych, które uważamy za niepotrzebne, jak chrząszcze czy karaluchy, może przeżyć wszystkie rodzaje wybuchów atomowych. Ani trochę im to nie zaszkodzi.

Po tych słowach zostaję sama na ulicy przed moim domem i patrzę, jak mój przyjaciel odjeżdża do swojego laboratorium i komputerów.

W każdym razie tak powiedział.

Widząc oddalającą się taksówkę, pytam pustkę po przyjacielu:

- Jeśli musiałbyś wybierać między byciem w pokoju, w którym pada, a byciem na powietrzu w czasie deszczu, co byś wybrał?

Taksówka zniknęła.

Smutna patrzę na dozorcę, którego nie dziwi, że stoję na deszczu i mówię do pustej ulicy:

- Bardziej nieprzyjemne i upokarzające jest przebywanie w pokoju.

Uśmiecham się do dozorcy najczarowniejszym uśmiechem i mijając go, mówię:

- Oczywiście, jeśli ktoś nie lubi deszczu.



Którejś czwartkowej nocy mój przyjaciel mnie opuścił.

Ponieważ nigdy nie kończył pracy nad tym swoim mózgiem przed północą, wybrałam się na obiad z pewnym słynnym psychiatrą, który chciał, żebym mu zrobiła film.

- Chodzi mi tylko o twoją twarz - powiedział. - Dzięki twojej twarzy dowiemy się, jaka to męka być człowiekiem.

- Żadnej radości? - spytałam.

- Film traktuje o traumie i twoja twarz dobrze się do tego nadaje.

I poklepał mnie po rękę. Potem opowiadał mi o swojej kochance, mówił, jak to im ze sobą wspaniale. Sądząc z opisu, jego dziewczyna nigdy nie będzie musiała uosabiać swoją twarzą jakichś lęków czy traumy.

Kiedy zamierzałam powiedzieć, że życzę sobie wracać do domu sama, zamówił dwie taksówki.

A potem oczekiwałam na twórcę mózgu. Zadzwoił z budki telefonicznej i oznajmił, że nie przyjdzie. Ja na to, że przyzwoiciej by wyglądało, gdyby dzwonił do mnie z domu albo z laboratorium, skoro twierdził, że pracuje.

- Tak jakbyś wypadł na ulicę od kogoś, kto nie powinien nic wiedzieć o moim istnieniu. To dziwne uczucie odebrać telefon w środku nocy z budki telefonicznej - powiedziałam neurotycznie, przypominając sobie inne jego telefony z budek.

Tak się wściekł, że odłożył słuchawkę. Po dwóch godzinach znów zadzwonił i oświadczył, że to już koniec.

- Jesteś za trudna - powiedział jego głos na tle muzyki i śmiejących się ludzi.

Był już piątek, zrozumiałam, że czeka mnie nieskończenie długi i nudny weekend. W lustrze zobaczyłam jakąś kobietę w średnim wieku, która okupuje moją twarz. No cóż, moje wyobrażenie o sobie klóci się z tym, co widzę w lustrze.

Wolno odczytałam swojej twarzy, tak dobrej w oddawaniu cierpienia, jeden z jego wierszy.

A może nigdy go nie kochałam? Może go tylko stworzyłam, bo właśnie to było mi potrzebne? Może to po prostu mój „nieudany twór”?

Położyłam się o brzasku. Po przebudzeniu znów myślałam o moim naukowcu i jego dużym komputerowym mózgu. Wzdrygnęłam się na wspomnienie tych wszystkich myszy w klatkach, piszczących i pędzących wkoło; kto wie, może nawet wyrażały radość. Skąd mogę wiedzieć, co czuje mysz z ludzkim mózgiem, eksperymentalnie rozwijającym się w jej ciele? I kiedy tak myślę o tych wszystkich urządzeniach i myszach, nie tęsknię już za nim tak bardzo.

I dosyć mam obiadów okraszonych rozmowami o traumie w mojej twarzy.

*Ląka usiana polnymi kwiatami, niebo usiane gwiazdami. Owiewa mnie tchnienie łąki, najsubtelniejsze zapachy wywołują uśmiech. Podnoszę głowę do góry i wypowiadam sekretne życzenie: Pozwól mi kochać jeszcze raz. I pozwól, by mnie kochano.*

*Mówi się, że spadająca gwiazda oznacza spełnienie jednego życzenia. Ale ja mam dwa.*

W moich rodzinnych stronach ludzie żyją blisko natury. Góry i morze, przemienność pór roku, słońce o północy i czarne wieczory zimą. Pełno we mnie sag, troli, elfów, chochlików i legend. Ten świat z dziecięcych opowieści zapełnia moje życie wielkimi pragnieniami.

Kiedy byłam dzieckiem, widziałam drzewo jako piękną niebieską plamę z czerwonymi i żółtymi dodatkami. I tak je malowałam. Dopiero po wielokrotnie powtarzanych uwagach dorosłych, że prawdziwe drzewa są całkiem inne, przyjrzałam się uważnie swoim barwnym plamom i od tamtej pory nigdy już tak nie malowałam.

Wyobrażnia! Tak bardzo jej potrzebuję! Tęsknię za moimi kolorowymi farbami, ich zapachem i tym szczególnym uczuciem, kiedy kreśliłam grubą czerwoną kreskę na dużej,

czystej kartce papieru.

Dzisiaj brak mi tego migotliwego światła dzieciństwa, w którym wszystko mogło się zdarzyć.

Nazywam go Abel.

Zjawił się w tym momencie mojego życia, kiedy byłam gotowa biegać nad dolinami po łuku tęczy, żyć samym tylko wyobrażeniem miłości, wierzyć w marzenia i unosić się z ptakami, przekraczając wszystkie granice ziemi.

Jest wczesna wiosna, z zimowego posłania wychylają się już pierwsze kwiaty i wyciągają swoje cienkie łodygi ku słońcu, które jeszcze nie ogrzewa. Z dachu spadają krople wczorajszego deszczu, lśnią soczyście zielone pąki brzozy. Wspaniały dzień! Ludzie chodzą parami, w domach płonie ogień na kominku, czuję zapach dymu.

Stąd, gdzie siedzę, widzę morze i pasemko wysepek. Ten kwietniowy poranek przypomina mi wiosnę w Norwegii, czas kolejnych narodzin. Jestem daleko od domu, na peryferiach Londynu. Kręcimy film.

Akurat kiedy mam stanąć przed kamerą, podchodzi do mnie. Miał przyjechać ze swoją ekipą następnego dnia. Chodziło o godzinny wywiad ze mną dla czeskiej telewizji.

Jest wysoki i bardzo przystojny. Nie uśmiecha się, a kiedy mówię na powitanie: - Przychodziecie dzień za wcześniej - wymienia tylko swoje nazwisko.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Mówi, że nie zrobi wywiadu, jeśli mnie lepiej nie pozna. Tak zawsze pracuje. Pyta, czy mógłby mnie wieczorem zaprosić na drinka. Zajmie to tylko godzinę.

Zamiast odmówić, zgadzam się.

Charakteryzator słyszy naszą rozmowę i uśmiecha się.

Później, śmiejąc się, mówię mu żartem:

- Chyba rozumiesz, że może to być mężczyzna mojego życia!

Kiedy dziesięć minut przed czasem wchodzę do baru, już tam siedzi. Biały garnitur, w którym był przed południem, jest teraz pomięty. Zastanawiam się, czy to jedyny, jaki ze sobą zabrał. Widzę pewną czułość na jego twarzy i mam ochotę mu o tym powiedzieć. Ale nie mówię. Jeszcze nie.

Zdecydowanie nie jest jego mocną stroną, bo zastanawia się nad kartą drinków tak głęboko, jakby całe jego życie od tego zależało. Kiedy w końcu zamawia whisky, okazuje się, że nigdy nic innego nie pije. Potem opowiada mi o swojej wyprawie z Czechosłowacji do Londynu w taki sposób, jakby tylko on jeden podróżował. Pobrzmiewa w nim jakaś pesymistyczna nuta, co mi się nie podoba, ale oczywiście pierwszego dnia me odgrywa to żadnej roli.

Ma piękne dłonie, duże, o długich, mocnych palcach.

Na pytanie, czy jestem sama, odpowiadam, że właśnie wyszłam z długiego i zagmatwanego związku. Śmieje się, kiedy mówię, że potrzebne mi złudzenie czyjejs opiekuńczości.

- Jesteś silną kobietą - oznajmia.

Ja na to, że pragnęłabym, aby ktoś zdał sobie sprawę z mojej niepewności, że wypełniają mnie marzenia.

Nie słucha.

Właśnie kiedy zamierzam odejść, oświadcza, że fascynuje go moja twarz. I chciałby jej dotknąć. Dotyka. Mówi, że wywiad ze mną planował w okresie, kiedy przestało go już interesować wysłuchiwanie myśli i opinii rozmówców. Czuł tylko zmęczenie, obojętność i niechęć. Opowiada, że stracił wiarę w piękno i w znaczenie słów: każdego dnia siedział przed inną twarzą i już nie wiedział, co ta twarz do niego mówi. Nie przejmował się tym. Nie słyszał nawet własnego głosu. Ciągłe mówił słowa, które dla niego umarły, a tak naprawdę chciał

plakać, chciał się śmiać, nienawidzić i kochać. Stał się uznanym niewolnikiem tv.

Siedzi z nieznaną kobietą i wpatruje się w swoją szklanę w mrocznym barze daleko od ojczyzny. I ma chyba nadzieję, że właśnie ta kobieta uwolni go od jego samotności.

Również następnego dnia, kiedy mam mu udzielić wywiadu, przychodzi w białym garniturze. Zdejmuje zegarek i kładzie go między nami na kanapie. Pyta o Ingmara Bergmana.

Chciałabym, żeby pytał o mnie.

I kiedy opowiadam o starym romansie, zastanawiam się nad nowym.

W wywiadzie mówię to samo, co setki razy wcześniej. Większość dziennikarzy zadaje identyczne pytania.

Pewnie myśli, że to on pierwszy zmusza mnie do wypowiedzania określonych sądów. Obserwując go, usiłuję dociec, czy będziemy się kochać, czy też po prostu odjedzie z moim głosem i moją twarzą na taśmie.

Jest bardzo pewny siebie. Dopiero później zrozumie, że to tylko poza, sposób na ukrycie ogromnej nieśmiałości. Udaje brak zainteresowania tym, co mam do powiedzenia, bo przeważnie patrzy w sufit. A poprzedniego wieczoru prawie ode mnie nie odrywał wzroku i uśmiechał się tak, jakby znał jakiś mój sekret. Potem odkryję, że tak właśnie objawia się jego osamotnienie, kiedy jest zawiany.

W wywiadzie mówię, jak Ingmar dodawał mi otuchy i inspirował. Jak się wzajemnie inspirowaliśmy. Przed poznaniem go nigdy nie byłam równie twórcza. Na jego prośbę napisałam nawet scenariusz, ale kiedy go przeczytał, uznał, że jest zbyt intymny i że nie umiem pisać dialogów. Później Ingmar miał zwyczaj siadać i obserwować mnie w trakcie pisania, jakby go to niezmiernie irytowało. A kiedy już pochowałam scenariusz w szufladzie biurka, też przyłapywałam go na tym dziwnym wyrazie twarzy.

Obcemu człowiekowi z Czechosłowacji opowiadam o związku sprzed wielu lat, moich chwilach szczęścia i uniesień. Uśmiecham się do mężczyzny, którego nazwałam Ablem, i mówię:

- Nic mnie już nie zrani.

Abel i ja jedziemy do małej wioski w pobliżu Brestu na francuskim wybrzeżu. Jest przełom lata i jesieni.

Cały tydzień spędzamy w starej, przed laty pomalowanej na niebiesko chacie, którą właściciel wynajmuje turystom przez kilka miesięcy w roku. Mam wrażenie, jakbyśmy zawsze tu mieszkali, w zgodzie z rytmem oceanu, widocznego z okna.

Tylko ocean jest tu dramatyczny. Patrząc z Ablem na fale, mam wrażenie, że jesteście ich częścią. Ruchy fal stają się naszymi. Wzburzona woda zalewa łąd rybami, wodorostami i planktonem. Pożywieniem.

Obrazek podczas odpływu:

Mieszkańcy wioski idą śladem wody. Starzy. Młodzi. Niektórzy szukają ślimaków, które wkładają do ręcznie plecionych koszy, żeby je jeszcze tego samego dnia sprzedać na targu. Dzieci łapią małe rybki, które zostały w malutkich stawkach i kałużach. - Tam jest nasze śniadanie - mówi Abel i mocno chwyciwszy moją dłoń, ciągnie mnie w kierunku oddalającego się oceanu.

Ze zdziwieniem obserwujemy zmieniające się tutaj kształty krajobrazu. Piękno wczesnego ranka, kiedy ocean miękko wślizgnąwszy się na piasek, zostawia po sobie nowe ścieżynki. Migotliwość strumyczków, które - choć istnieją zaledwie małą chwilę - są w nieustannym ruchu.

I światło - tak tutaj osobliwe. Słońce igrające z wodą i ziarenka piasku o szczególnym, ostrym połysku.

Zwinne mewy usiłują pochwycić w locie małe piaszkowe muszelki, które wyciągają

szyję, żeby wessać w siebie nieco wody, zanim odpłynie, i - jeśli dopisze im szczęście - błyskawicznie zakopać się w bezpiecznym miejscu.

Odpływ oferuje bogactwo pysznych mięczaków. Na przykład ostrygi na śniadanie. Abel ma nóż w jednej kieszeni, w drugiej - parę cytryn. Ja niosę białe wino. Siadamy na wydmach, zajadamy i przyglądamy się rybakowi, który maluje swą łódź na wspaniałe kolory. Słuchamy głosów nabrzeża, dopóki nie nadejdzie huczący przyływ.

Łodzie rybackie, które jeszcze przed chwilą leżały na suchym lądzie, unoszą się teraz na fali. Zniknął szarobiały brzeg, nasiliły się odgłosy oceanu. Rybacy spieszą do łodzi i stawiają żagle; żeby bezpiecznie wrócić do miejsca kotwiczenia, muszą zdążyć przed odpływem.

Niedawno wyblakłe i nieruchome wodorosty nabierają barw, a przyczepione do nich rybki i ślimaki lśnią jak klejnoty.

Codziennie jesteśmy świadkami tego cudu: nagi, dostępny dla każdego brzeg zalewają szerokie fale, zatapiając wszystko, co widzieliśmy i czego dotykaliśmy.

Potęga sił przyrody robi na nas wrażenie. Któregoś dnia w czasie odpływu spostrzegam kwitnącą morską różę. Jak wiosną. W dniu wyjazdu zastanawiam się, czy przypadkiem powracająca fala nie oddziałała na mnie silniej niż on, Abel.

Na swoje trzynaste urodziny Linn dostaje od ojca chrzestnego, Arthura, dwa bilety na afrykańskie safari. Pod warunkiem, że wezmę w tym udział.

Waham się: zajmują mnie sprawy kumpuczańskich uchodźców, niedawno skończyłam film i jakiś czas chciałabym pobyć w domu. A poza tym Abel przeniósł się na stałe do Norwegii. - Spaliłem za sobą wszystkie mosty - powiedział po przyjeździe.

Ale jest to prezent szczególny, coś, co Linn i ja będziemy długo pamiętać. Jedziemy. Piszę do Arthura:

„Nie wiem, jak ci dziękować za ten wspaniały podarunek. Dzięki tobie możemy dzielić te same tajemnice, na co w domu prawie wcale nie starczało czasu. Wspólne długie wieczory po niezwykłych przeżyciach dnia. Zmęczone, ale szczęśliwe, leżymy wieczorami w swoich łóżkach i szepczemy do siebie, jak dwójka małych dzieci”.

To prawda, snujemy wieczorne opowieści. Ale harmonia i radość, kiedy jedna ma lat trzynaście, a druga czterdzieści? Nie. Tylko w moich marzeniach.

Chciałabym dać jej miłość i poczucie bezpieczeństwa. Bo przecież wiem, czego naprawdę potrzebuje, kiedy nie umiem okazać jej nic, prócz własnego lęku.

Nie chcę, by w przyszłości szukała tego, czego sama nie potrafiłam jej dać w odpowiednim czasie. Nie chciałabym, żeby bezskutecznie poszukiwała czegoś, co można odnaleźć już teraz.

Linn i ja na safari w Afryce: czterdziestoletnia matka i trzynastoletnia córka, obie przed czekającymi je w życiu zmianami. Kłócimy się, zawieramy pokój i znów się kłócimy. Jej zdaniem niewiele rzeczy umiem robić dobrze.

To, co mówimy, a niekiedy wykrzykujemy do siebie pod palmami, nie ma praktycznie większego znaczenia. Nie oddajemy słowami tego, co czujemy naprawdę.

Linn nie chce, bym widziała jej radość. Oficjalnie ta podróż jest jej nienawistna.

Przyjechałyśmy do obcego nam świata. Przez jakiś czas Linn przejawia iskiereki entuzjazmu, ale kiedy przypomina sobie, że nie powinna się cieszyć, robi obrażoną minę.

Nasz stół śniadaniowy stoi pod sędziwym drzewem. Białe płatki jego kwiatów wpadają nam do soku pomarańczowego. Wokół gromadzą się ptaki, siadają na kolanach i ramionach. Jedzą z ręki. Ich skrzydełka są koloru tęczy. Jeden zakochuje się w mojej córce, ostrożnie przytula główkę do jej cieplej szyi i podśpiewuje, jakby rozmawiał sam z sobą. To śpiew szczęścia. Linn zapomina o aparacie korekcyjnym i zaczyna się śmiać. Poranne powietrze wypełnia radość i zdziwienie.

A potem mówi, że jest znudzona i pyta, czy nie ma tu przypadkiem jakiegoś wielbłąda,

na którym mogłaby się przejechać. Wie, że mamy bilety tylko na przejażdżkę jeepem. Kiedy jej o tym przypominam, informuje mnie łaskawie, że nie jechała do Afryki po to, żeby siedzieć w śmierdzącym samochodzie. Mówi też, że jestem stara. Oświadczam, że zachowuje się jak niemowlę. Wtedy wstaje i odchodzi. Łopot skrzydeł, spragnione towarzystwa ptaki rozpraszają się na wszystkie strony. Łopot, łopot w moim sercu.

Nie patrz na mnie takim wzrokiem, córeczko. Widzę w twoich oczach złość. Jeszcze przed chwilą śmiałyśmy się, a potem czymś cię uraziłam.

Gdybyś wiedziała, że czterdzieści lat znosi się równie ciężko jak twoje trzynaście. Że wiem równie mało o przepełniających mnie odczuciach, jak ty o procesach zachodzących w twoim ciele. Obie musimy poczekać, kilka miesięcy, a może kilka lat. Na razie nic nie jest jasne i nic nie jest pewne. Ale będzie. Twoje drobne, szczupłe ciało rozkwitnie. Moje nigdy już nie będzie tak powabne, moje ruchy tak pewne i nieskrępowane jak wówczas, gdy byłam tego nieświadoma. Może nawet - patrząc na ciebie - będę ci zazdrościć i wstydzić się tego uczucia. Nic jeszcze nie wiesz o czekającej cię przygodzie, przygodzie bycia kobietą. Dzisiaj cierpisz, nieświadoma, że nieustannie zbliżasz się do rozkwitu. Jak kwiat.

Jestem w obcym kraju, krzyżuję ręce na piersiach i czuję, że jest we mnie tyle niewykorzystanej młodości. Mnie też ogarniają wątpliwości. Tak jak ty, chciałabym, by ktoś zrozumiał moją niepewność, mimo że nie powinnam akceptować własnej dziecinności, jak akceptuję twoją. Podobnie jak ty potrzebuję uznania.

Ale tymczasem, dopóki się nie zmienimy, dopóki nie dokona się w nas przemiana, ty musisz walczyć i okazywać gniew, żeby się ode mnie wyzwolić, a ja nie mogę zrozumieć, że zbliża się chwila, kiedy będę zmuszona pozwolić ci odejść.

Po południu jedziemy do dżungli. Roślinność i miriady stworzeń w wiecznej walce o byt, ściśle tu zespolony z suchymi i deszczowymi porami roku. Jedyne, co słyszymy to chrzęst opon naszego samochodu na piasku i kamieniach, wiatr i szmer mijanego strumyka. Nad nami piekące słońce.

Przejeżdżamy obok młodej lwicy z trzema małymi, które baraszkują w żółtej, spalonej słońcem trawie i nie zwracają najmniejszej uwagi na zafascynowanych natrętów. Samca nie widać. Dowiadujemy się, że czasem zjada swoje dzieci i dlatego jest mile widziany tylko w okresie rui.

- Jak mój tata - odzywa się Linn.

Puszczam to mimo uszu.

W chwilę później nasz kierowca zatrzymuje się, żeby sprawdzić tylne koła.

- Czy takie postoje są niebezpieczne?

- Oczywiście. Jeśli w pobliżu są lwy, mogą zaatakować - spokojnie odpowiada kierowca.

- Ale tu przecież są lwy.

- Oczywiście. To znaczy, że możecie mieć dobre zdjęcia.

Kiedy znów siedzimy w jeepie, kierowca opowiada o pewnym małżeństwie, które obwoził kilka miesięcy temu. Kobieta dalej robiła zdjęcia, kiedy jej mąż został zaatakowany.

Przy wyschniętej rzece spotykamy samotnego słonia. Jest taki piękny, kiedy bawi się gałązkami, stawia ciężkie taneczne kroki i kołysze trąbą w harmonii z ciszą.

Dalej, tam, gdzie rzeka rozlewa się szerzej, w ciszy i spokoju leopold zjada swoją zdobycz. Na ziemi widać sztywne zwierzątko. Jego małe nóżki sterczą w niebo, ciało zatrzymane w ucieczce

Mijamy krokodyle i hipopotamy. W tej gliniastej wodzie są prawie nie do rozróżnienia. Z rzeki wystają przedziwne łby, jakby porównywały zapach wody z zapachem powietrza. Błotniste dno wygrywa.

Nieoczekiwane poruszenia za krzakami, zwierzęta, których nie widać. I jeszcze głębsza

cisza.

„Kochany Ablu, na Mount Kenya zostawiłyśmy nasze imiona w małym pudełeczku. Mam dla ciebie kamień ze szczytu. Pisząc te słowa, patrzę na niego i przepełnia mnie gorąca tęsknota”.

W nagości afrykańskiej nocy natura obnaża swój świat zwierząt, wiatru i roślinności, świat pełen ruchu i oddechów.

Noce nie są tu cichsze od tych, do jakich przywykliśmy, tyle że dźwięki nabierają jakby fizycznej obecności. Nawet kiedy nic nie słyhać, cisza jest żywa, opowiada, że coś dzieje się w ciemnościach.

Przed namiotem siedzi stary człowiek owinięty zielonym kocem. Nasz strażnik. A w środku szepczemy sobie rozmaite opowieści. Mówię Linn o narodzinach ziemi:

- Pewnego dnia na niebie zapłonął ogień i zabarwił chmury na czerwono. Gdybyś tylko widziała ten ogień, Linn! Bóg też tam był. To on wzniecił ogień. A kiedy już przeraził złych ludzi w niebie, ugasił płomienie. Deszczem. Padało miliony lat. Deszcz spadł na skrawek nieba, które się podczas pożaru obluzowało. To była ziemia. Wskutek nieustannie padającego deszczu prawie całkowicie zalał ją ocean. A po dalszych paru milionach lat wylazło na ląd małe zwierzątko. I taki był początek ciebie i mnie.

Przez dłuższą chwilę w namiocie panuje cisza. Potem rozlega się w ciemnościach zdziwiony głos Linn:

- Wydaje mi się, że pamiętam moje życie w oceanie. To smutne.

Z zewnątrz dobiegają odgłosy dżungli. Gdzieś w pobliżu sapie lew, trąbi słoń, a wokół śpiewają świerszcze.

W ciemnościach nocy, które zaległy, widzę migotliwe cienie. Żyje we mnie inna kobieta, o wiele młodsza, mała dziewczynka, która uśmiecha się do siebie przed zaśnięciem. Jest ciemno, jest noc - my tam jesteśmy.

Łagodne poranne wietrzyki i błogosławione uczucie spokoju. Stary mężczyzna z kocem budzi nas filiżanką gorącej herbaty. Niedaleko od naszego namiotu pasie się stado słoń, a dwie zebry i żyrafa, które wydają się jakby nie na miejscu, uporczywie się nam przyglądają.

„Kochany wujku Arthurze! Bardzo dziękuję za prezent. Najfajniejsze było safari balonem. Płynęliśmy w powietrzu w koszu i wszystkie zwierzęta były pod nami. A kiedy kosz wylądował, poprzewracaliśmy się na siebie i śmieliśmy się. Na śniadanie mama piła szampana z kilkoma dorosłymi. Podziękowania od Linn”.

Dzisiaj, kiedy to piszę, uśmiecham się na wspomnienie małego namiotu w Afryce. Podniesione, złe lub wesołe głosy. Rozległa, słoneczna przestrzeń. I mała dziewczynka, która spała z dłonią na aparacie korekcyjnym, bo uważała, że jest ohydny. Teraz już dawno go nie nosi.

Z okna patrzę na norweski fiord. Pada deszcz. Tutejszy krajobraz zdecydowanie różni się od tego, jaki podziwialiśmy podczas safari. Widzę fale przyływu i odpływu, słyszę ptaki, rozpoznaję zwierzęta i czuję wszystko, co tylko rośnie.

Moja ziemia.

*Zimowy pejzaż oświetla blade słońce. Wirują płatki śniegu. Taka chwila mogłaby być czarowna. Ale kochankowie są sobie obcy. Długo żyli, by odnaleźć piękno, a wszystko inne pozostało w uśpieniu. Teraz wolno się budzą i bliski jest czas odrzucenia i zniszczenia tego, co odkryli.*

Poznaliśmy się, kiedy przyroda była w rozkwicie. Łąki jego kraju, po których chodziliśmy razem, mieniły się kolorami, lawendowoniebieskim, czerwonym, żółtym. Gdziekolwiek spojrzalam, w ciepłym letnim powietrzu, na długich, wiotkich łodygach kołysały się kwiaty, a z pobliskich drzew dobiegały ciche szelesty doskonale harmonijnych, pokrytych złotymi liśćmi gałęzi.

Miejsca jego dzieciństwa. Pokazywał mi każdą rzeczkę, każdy wodospad i jeziorko, które widywał jako mały chłopiec.

Zapachy i czułe dotknięcia - słodkie wspomnienia - dzieliliśmy tego naszego pierwszego lata.

W Breście, kiedy nocami leżeliśmy w objęciach, mawiał, że jestem inna od wszystkich spotkanych przez niego kobiet. Dzięki mnie poczuł, że ma jeszcze jedną szansę. Wierzył, że nasza miłość przetrwa.

- Poruszyłeś we mnie to, za czym tęskniłem, ale nigdy nie miałem odwagi poruszyć sam - szeptał. - Sprawiałaś, że się unoszę. Teraz będziemy latać razem. To nasze przeznaczenie.

I opuścił swój kraj i przyszedł do mnie.

Na długo przed naszym spotkaniem starałam się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami innych, nawet kiedy byłam sama. Miałam ochotę krzyczeć, kiedy się uśmiechałam, milczeć, kiedy mówiłam. Mówiono, że jestem grzeczna i niebywale harmonijna. W tym świecie pozorów i pochlebstw, gdzie spędzałam znaczną część czasu, nie było dla mnie za wiele miejsca.

A potem spotkałam Abła.

Wysłał telegram, w którym prosił mnie o wywiad. Nie odpowiedziałam. Wysłał drugi telegram. Też bez odpowiedzi. Później wyznał, że bał się mnie stracić, nie poznawszy uprzednio. Zastanawiał się, jakie błędy zrobił w tych krótkich telegramach i czy zrozumiałam, że pragnął mnie, a nie wywiadu. Wywiad był tylko pretekstem. Po prostu uważał, że powinniśmy się spotkać i być ze sobą. I wysłał trzeci telegram. Odpowiedziałam twierdząco. Wtedy, jak mówił, wiedział już, co nastąpi.

Podczas wywiadu nie wyjawiałam różnic między nami, nie powiedziałam, że moje dni są dokładnie zaprogramowane, że żyję według grafików i planów. Obowiązki dają mi poczucie bezpieczeństwa.

Dla niego wywiad stał się początkiem jego szaleństwa - w każdym razie tak mi później powiedział. Zlekceważył swoje obowiązki, układy, środowisko, porzucił rodzinę, pracę i kraj.

- To się chyba nazywa miłość - powtarzał.

Podobnie jak inny mężczyzna, który postawił dom na wyspie dokładnie tam, gdzie po raz pierwszy wyznał mi swoją miłość, Abel także zaproponował pewien rodzaj symbolu uczucia: wszechświat bez przeszłości tylko dla dwojga. Wierzył, że jego uczucia do mnie będą w stanie wypełnić całe jego życie.

A kiedy się przecknął i ochłonał, spostrzegł różnicę między nami. Cierpiał z powodu moich rozmów telefonicznych, moich listów i dokładnie zaplanowanych dni. Twierdził, że chwile miłości stały się dla niego nagrodą, którą musi zdobywać. - Jesteś ofiarą swoich obowiązków - mówił, chodząc za mną jak lunatyk, aż w końcu oboje się tym zmęczyliśmy. Chciał mieć wyłącznie mnie, nie to, czym było moje wcześniejsze życie bez niego. Wyłącznie mnie na jego warunkach.

Powiedział: Weź mnie. Ale pragnął tylko moich ramion, uśmiechu, ciała, miłości.

Powiedział: Użyj mnie. Ale myślał o czymś innym. Nigdy się nie dowiem, o czym.

W naszym intymnym światku miłości ogrzewała mnie jego czułość, mimo że brakowało mi uznania za wszystko, kim byłam poza nim.

Przyszedł do mnie w chwili, kiedy potrzebował schronienia i tęsknił za jednością z innym człowiekiem.

Wydawało mi się, że pragnę tego samego. Stopniowo wycofywałam się już ze świata, który był moim przez wiele lat.

Ponieważ zaangażował się całkowicie i bez zastrzeżeń, myślałam, że akceptuje całe moje życie. Dopiero później zauważyłam, jak się usuwa, ale nie miałam odwagi wyrazić moich przeczuc.

Abel czuł się obco w moim świecie.

Wtedy tego nie rozumiałam.

Siedzimy w moim norweskim mieszkaniu.

Abel wpatruje się w płomień na kominku. Wygląda na znudzonego.

Usiłuję czytać, ale nie rozumiem słów. Tęsknię za nim i za byciem sobą. Trzeba cudu, żeby zagoiły się rany.

Zastanawiając się, czy to co do niego czuję, to miłość, pytam:

- Kochasz mnie?

- Tak.

I milczymy.

Przyglądam się mężczyźnie, który na próżno próbował uciec od własnej przeszłości. Mogę sobie wyobrazić wszystkie sytuacje, jakie musiał przede mną ukrywać, twarze i uczucia, będące częścią jego samego.

Co się z nami stało, Abel? Jak mogłeś wierzyć, że zastąpię ci to wszystko, co dla mnie porzuciłeś?

Czego oczekiwałam? Początkowo, kiedy swój przyjazd nazwałeś darem miłości, byłam okropnie zadowolona. Potrzebowałam tego. Później jednak wpadłam w panikę, bo wokół mnie trwał świat, który nie istniał wyłącznie jako cicha przystań dla dwojga kochanków. Miałam zbyt dużo obowiązków i zależnych ode mnie ludzi. Byłam matką. Dom znaczył dla mnie nie tylko miejsce, gdzie byliśmy jedynie dla siebie. Abel pragnął rzeczy nierealnych. Chciał, byśmy razem uciekli. Za późno.

Płaczę.

- Abel, jestem sama.

- Czasami lękam się, że jestem ci potrzebny wyłącznie jako dowód, że możesz kochać i możesz być kochaną.

Ociera moje łzy i obejmuje mnie.

- Mówiłeś „użyj mnie”.

- Powiedziałem „weź mnie”.

- Czemu ostatnio jesteś na mnie taki zły?

- Nie, nie jestem - mówi cicho. - Oboje żyjemy niecierpliwie, oboje jesteśmy marzycielami. Chcemy, by stało się niemożliwe. Mam nadzieję, że dzięki tobie wyzbędę się przeszłości. Nie opuszczę cię, jeśli nie będę pewien, że my dwoje nigdy nie staniemy się jednym. Bez przeszłości. Ale gdybym cię zostawił, nigdy nie spojrzę wstecz. Odejdę bez żalu. Nie będę już marzył, ale też nie będę żałował.

Siedzimy w milczeniu.

*Podróżuję po nie znanym mi świecie głodu, ubóstwa i nadziei. Największe wrażenie robi na mnie cierpliwość biednych.*

*Mimo że zawsze byłam blisko ludzi, których teraz spotykam, mimo że znałam ich los, żyłam swoim życiem. Jak na wyspie otoczonej wysokim murem.*

*Głodny mężczyzna, reprezentant statystyki, wyciąga pomarszczoną dłoń. Jest stary, może samotny, palce wystają ze zniszczonych butów, śledzi oczyma każdego przechodnia: - Pomóżcie mi, proszę. Jest jak nastawiona na określoną godzinę bomba, która w końcu zniszczy nas wszystkich. Jest tą niewyobrażalną nędzą, która nęka dzisiaj ponad połowę ludzkości.*



Zawsze będę miała dług wdzięczności wobec UNICEF-u, Funduszu Narodów Zjednoczonych Pomocy Dzieciom. Któregoś dnia wezwano mnie do jego siedziby głównej w Nowym Jorku i poproszono o pełnienie funkcji ambasadora dobrej woli, pierwszego takiego ambasadora płci żeńskiej.

Przyszło to całkiem niespodziewanie. Miałam jeździć do krajów rozwijających się w charakterze obserwatora finansowanych przez UNICEF prac dotyczących projektu opieki nad dziećmi, nawiązywać kontakty z rodzinami najuboższymi i zorientować się, w jakich warunkach żyją.

Po zebraniu obserwacji i doświadczeń należało obmyślić formy pośrednictwa w przekazywaniu najpilniejszych problemów i potrzeb dzieci.

W tę pierwszą podróż z ramienia UNICEF-u Abel postanawia wybrać się ze mną. Cieszy mnie jego decyzja, ponieważ kiedyś wspomniał, że żyje naprawdę tylko wtedy, kiedy jest w drodze.

Podróż zaczyna się w Nowym Jorku.

Na lotnisku jakaś staruszka podnosi do ust flet i kłania się sama sobie. Rozbrzmiewa płaczliwa melodia. Patrzymy na górę wełnianych ubrań, bosc okaleczone stopy i niebieskie oczy, wpatrujące się w tajemnicze światy, których nawet nie przeczuwamy.

- Widzisz, biedni są wszędzie - mówi Abel. - Czy musimy jechać aż do Azji, żeby ich znaleźć? Zawsze ci się zdaje, że powinnaś działać z wyprzedzeniem. Żeby coś się działo. Nigdy nie poczekaś. Przecież nie musiałaś natychmiast przyjąć propozycji UNICEF-u. Trzeba się było zastanowić. Moglibyśmy zaplanować coś wspólnie i pojechać gdzieś na własną rękę. Zobaczylibyśmy to, co my chcemy zobaczyć. Wybrać.

Nie znajduję słów odpowiedzi, wiem tylko, że nie potrafię siedzieć beczynnym i obserwować świata tak jak Abel, i czekać aż wszystkie okazje miną bezpowrotnie.

Myślałam, że wspólnie coś odkryjemy, ale już na lotnisku - w drodze do Indii - oddaliśmy się od siebie bardziej niż przed decyzją o wyjeździe.

Samolot płynie przez wełniste chmury w jasność, która wypełnia mnie całą. Uwielbiam te połyskliwe obłoki fal. Ciekawe, co czuliby ludzie minionych epok, gdyby mogli to przeżyć. Co myślałby Juliusz Verne, ten wielki podróżnik, gdyby siedział teraz w samolocie, zapięty pasami bezpieczeństwa? Albo Michelangelo? W myślach przekroczył wszystkie granice ustanowione przez człowieka, całe jego życie było hołdem złożonym możliwościom ducha. Czy tajniki jego podróży „wewnętrznych” zaprotestowałyby przeciwko dźwiękowi, szybkości i ograniczeniom naszego samolotowego lotu?

Daleko pod nami leży sobie kabel atlantycki, przekazujący dnem oceanu wiadomości od człowieka do człowieka, mimo że w ogóle tego nie widać. Powierzchnia oceanu nie nosi też żadnych śladów, zaświadczających o niezliczonych podróżach człowieka z kontynentu na kontynent.

I przestrzeń, przez którą lecimy dzisiaj wieczoru, również nie zachowa śladu dwojga kochanków, którzy udali się na poszukiwanie sensu życia.

*Codziennie z braku jedzenia, wody i lekarstw umiera 40 000 dzieci. Czyli co dwie sekundy*

*teraz*

*i teraz*

*i teraz*

*i...*

Biedni rzadko przeżywają chwile radości z powodu cudu rozwoju.

My, którzy przeżywamy, możemy czekać. My tak, ale nie dzieci: noce bez dachu nad

głową, dni nad pustym talerzem, tygodnie nędzy, miesiące cierpień. Nawet jeśli przeżyją, zostaną naznaczone na całe życie.

My również.

Może sobie nie zdajemy sprawy z tego stygmatu. Ale ja to widzę, widzę na ulicach Nowego Jorku czy Oslo. Niedostatki wiedzy nie mogą usprawiedliwić mojego wzruszenia ramion. Czytam, słucham radia, oglądam tv.

Ja po prostu nie chciałam wiedzieć.

Ciągle miałam statystykę przed oczami. Mam ją i teraz, w trakcie podróży. I nawet jeśli pozostanie dla mnie abstrakcją, nowo poznane twarze żywych i umarłych złożą się na obraz rodzaju ludzkiego. Piękno tego obrazu stanowią więzi zaufania.

## ŻYJĄCY

Jest stary. Kiedyś żołnierz, obecnie sanitariusz w swojej rodzinnej wiosce. Ostrożnie prowadzi mnie wąską ścieżką do grupki małych chat. Jedną rękę trzyma na moim ramieniu, drugą opasuje mnie w talii. Jego zahartowana słońcem, smagana piaskiem przez wiatry skóra mówi o latach i życiu właściciela.

Starzec przedstawia mnie wszystkim rodzinom, którymi się opiekuje. Niedawno przeszedł kurs UNICEF-u, jest teraz lekarzem „bosych” i potrafi rozpoznawać najprostsze choroby. W zniszczonej torbie ma lekarstwa i nieskomplikowane narzędzia.

Duma, kiedy siada obok pacjenta, i delikatność, kiedy opatruje ranę.

Podczas wspólnie spędzonego popołudnia dostrzegam szacunek, jakim darzą go mieszkańcy wioski. Sami go wybrali, żeby się dla nich wszystkich kształcił.

W niewielkiej osadzie w Bangladeszu odbywa się uroczystość. W otoczeniu zielonych gór mężczyźni, kobiety i dzieci tańczą wokół błyszczącej rury. Wszyscy trzymają się za ręce. Pałace słońce przydaje barw ich ruchom. Przed moimi oczyma wiruje kalejdoskop kolorów.

Tutejsze kobiety były dotychczas zmuszone do przynoszenia wody z odległego o wiele kilometrów zanieczyszczonego źródła. Teraz między nimi stoi pompa.

Mężczyzna, który ją zainstalował, ruchliwy jak cięciwa po wypuszczeniu strzały, za chwilę zademonstruje działanie swojego urządzenia. Dzięki wykształceniu, jakie mu zapewnił UNICEF, może teraz chodzić od wioski do wioski i dawać ludziom wodę. Pomaga mi wejść na starą drabinę i prosi, żebym przytknęła dłoń do wylotu rury.

- Czujesz - mówi ze śmiechem. - Czujesz? To woda!

Przez skórę czuję ciśnienie wypychanego powietrza i siłę pracy wody. Za chwilę wydarzy się cud!

Teraz wiele dłoni dotyka rury i nagle woda z bulgotem płynie do podstawionych wcześniej garnków i naczyń.

Kiedy wydaję okrzyk zachwytu, wiertniczy śmieje się. Przelotnie dostrzegam na wewnętrznej stronie jego gestykulującej dłoni duży, fioletowy siniak. Jego codzienna praca, polegająca na wbijaniu rury w wyschniętą ziemię aż do miejsca, gdzie jest świeża woda, odcisnęła na nim ślad nadziei.

W tej samej wiosce bierze mnie za rękę dziewięcioletnia dziewczynka. Mały słodki elf o długich czarnych włosach, spływających wzdłuż twarzy i ramion. Uśmiecha się i prowadząc mnie za sobą, mówi cienkim, podnieconym głosikiem:

- Chcę ci pokazać to wszystko, co w moim życiu najpiękniejsze. Mój dom, moją rodzi-

nę i wszystko, co rośnie.

Mieszka w gliniance. Schylam głowę, wchodząc przez ciasny otwór. W środku jest ciemno, nie mogę rozróżnić ludzi, którzy z nią wspólnie mieszkają. Ale kiedy słyszę ich pomruki, ruchy i oddechy, czuję, że otacza mnie ciepło.

## UMIERAJĄCY

Idzie za mną kobieta z dzieckiem. Ciągnie mnie za rękaw i szeptem:

- Zaopiekuj się moim małym. Nie mam dla niego jedzenia

Jej oczy są jak brama wiodąca ku rozpaczce.

Upalne, wczesne popołudnie w ubogiej wiosce indyjskiej. W tym bezwietrznym miejscu powietrze zdaje się martwe, a ludzie tragicznie wyizolowani, jakby jeszcze nie odkryci przez świat, powoli ginący z głodu w centrum dobrobytu. Jakaś kobieta osuwa się na ziemię. Jest w ósmym miesiącu ciąży, jej osłabione ciało poddaje się, kiedy przychodzą zbyt wczesne bóle. Rodzi wątłego chłopca i kilka godzin później umiera z wykrwawienia. Nie ma tu żadnych lekarstw, które mogłyby jej przynieść ulgę w ostatnich chwilach. Kiedy stamtąd odjeżdżamy dziecko jeszcze żyje.

## OPUSZCZENI

Przed sierocińcem czeka dwunastoletnia dziewczynka. W węzélku jest cały jej dobytek.

- Czy mogę tu zostać? Chciałabym się też nauczyć czytać.

Dziecko stoi na pupie. Pociąg obciążł jej obie nogi.

Obok niej przy furtce jest koryto, gdzie matki mogą zostawiać swoje dzieci. Potem dzwonią i odchodzą. Siostry zakonne odczekują pół godziny, na wypadek gdyby któraś z matek się rozmyśliła, i przygarniają nowego przybysza.

Opuszczeni starzy mężczyźni i kobiety są tu również mile widziani. Widzę, jak krzyczące dziecko dostaje zaraz po wyjęciu go z koryta nieśmiała, siedemdziesięcioletnia staruszka. Widzę dwa bezzębne uśmiechy, kiedy dziecko leży na jej kolanach.

W ogrodzie na trawie śpi szesnastoletni chłopiec. Rzadko się budzi, ale nawet wówczas trudno dostrzec u niego jakąś różnicę między snem a jawą. Leży nieruchomo, bez względu na to, czy jego oczy są otwarte czy nie. Wygląda tak, jakby życie opuściło jego ciało, a dźwięki, które usiłuje wydobyć, poruszając wargami, pozostają nieme.

Najbardziej wzruszają mnie dzieci najmłodsze, nieprawdopodobnie wychudłe. Ich cienki, chrapliwy płacz cichnie, kiedy tylko ktoś je weźmie na ręce. Poważne twarzyczki, malutkie noski, delikatne wargi, małe główki na mojej piersi. Drżące, drobne ciała z cienką, napiętą jak struna nitką nadziei na przeżycie.

Lecimy do Sri Lanki.

- Przeznaczenie - odzywa się Abel. - Tutejsi ludzie wierzą w przeznaczenie. Nawet kiedy straszliwie cierpią, wierzą, że takie jest już przeznaczenie. Nie próbujemy tego zmieniać.

Nie mogę się z tym zgodzić. Ja, Abel, nasi przyjaciele, my wszyscy chęłpimy się, że do pewnego stopnia mamy wpływ na własny los. Więc jaką szansę mogą mieć ludzie biedni,

skoro z zasady los nie jest w ich rękach. I dlaczego akurat nam opatrność miałyby dać tak wiele, a tutejszym mieszkańcom nic?

Trudno mi przekazać Ablowi moje odczucia podczas naszej wspólnej podróży po świecie ubóstwa: jak przeżywam to wszystko, co muszę załatwić i co uważam za istotne.

To ja jestem tą kobietą, która chce oddać własne dziecko, żeby je uratować od głodu. Jeśli nie wezmę tego do siebie podczas tej naszej bytności na ziemi, jak mogłabym się spodziewać, że ktoś przejmie się mną?

Tylko w statystykach ludzie umierają w milionach. Każdy umiera indywidualnie, tak jak indywidualnie żyje.

Szukam słów, żeby móc opisać moje nowe doświadczenia i nieustanne poszukiwania. Poszukiwania wiary czy miłości? A może jednego i drugiego?

A może... Nie wiem.

## ŻYJĄCY

Mały brudny chłopiec na promie udaje, że czyści nasz samochód. Wyciąga rękę. Jego poważne, stare oczy patrzą na nas obojętnie. Kładziemy na dłoni chłopca kilka monet - nie znamy ich wartości. Patrzy w dół, do góry i jeszcze raz w dół. Śmieje się zdumiony i szczęśliwy. Mały chłopiec ze Sri Lanki myje, szoruje i pucuje nasz samochód. Czyści nawet koła. Jego twarz promienieje radością. Na cienkich, pajęczych nogach biegnie przed samochodem, żeby nas wyprowadzić ze statku. Jego podskoki wbiłyby w dumę niejednego tancerza.

Po zjechaniu z promu machamy mu ręką, ale już nie ma czasu nam odmachać. Zapomniawszy o wszystkim dokoła, dzieli się swoimi drobnymi z innym chłopcem.

W Kalkucie pewna kobieta w średnim wieku żyje w sąsiedztwie skrzyń na śmieci. Mówi, że nie udało jej się znaleźć żadnych materiałów na zbudowanie szałas. Trudno tutaj, na rogu ulicy, o spokój, ale twierdzi, że jej to nie przeszkadza. Jest z pewnością młodsza niż wygląda, ponieważ jej dzieci, czwórka bawiąca się na mokrej, brudnej ziemi, są jeszcze małe.

„Czy nie przeszkadza jej smród?” Nie, już przywykła. Tutaj ma spore szanse znaleźć coś do jedzenia. Często jest zdumiona, widząc, co ludzie wyrzucają. Uzbierała cztery polana. Dobrze ich pilnuje w nadziei na zdobycie czegoś, co będzie mogła w ściągu dnia przyrządzić. Kiedy zaczyna padać, zaprasza mnie pod swój szal. Ostrożnie trzyma go ponad naszymi głowami, gdy tak cicho, w przyjaźni siedzimy w rynsztoku.

Dziewczynka trafiła do sierocińca z ulicy. Ma wzdęty z niedożywienia brzuch, rzadkie czarne włosy zaledwie osłaniają skórę głowy. Chudymi, drobnymi palcami szybko obmacuje fałdę mojej sukienki, dotyka moich długich włosów. Chyba się jej spodobał mój naszyjnik, bo głaszcząc go, patrzy na mnie. Kiedy biorę jej dłoń, na krótką chwilę wplata swoje palce między moje. Dotykam jej pierścionka z czerwonym szklanym oczkiem. Dziewczynka zdejmuje go i z uśmiechem oddaje.

Miesiąc później opowiadam o tym grupie młodych ludzi z Waszyngtonu. Po spotkaniu podchodzi do mnie trzynastoletnia dziewczynka i wręcza mi piękny pierścionek ze srebrnym serduszkiem. Prosi, żebym go podarowała komuś, kto nie ma nic, i powiedziała, że to prezent od przyjaciela.

O dwóch dziewczynkach opowiadam na spotkaniu kwaków w Nowym Jorku. Zainspi-

rowani tą opowieścią zapoczątkowują kampanię na rzecz dzieci cierpiących nędzę. Każdy z nich dostaje pierścionek, ma myśleć o sprawie, przesać pieniądze na specjalny fundusz, przekazywać tę historię dalej, a po miesiącu oddać pierścionek innej osobie.

W ten sposób mała dziewczynka z azjatyckiego sierocińca utworzyła fundusz, na który już po kilku miesiącach zebrano ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów dla dzieci biednych.

*Abel i ja. Nasza druga zima razem. Świszczący wiatr ciska o szyby deszczem i gradem, małe diabliki stukają w ściany, jakby chciały wejść do środka. Wieczór otula nas chłodnymi ciemnościami.*

*Ciągle tworzymy parę kochanków, ale patrząc na nas z boku, można by dojść do wniosku, że nie jesteśmy w stanie dotrzeć do siebie.*

Chciałam, by Abel opisał naszą podróż po Azji. Powiedział:

- Staram się zrozumieć to, co mnie otacza, i uważam, że moje życie jest za krótkie, żeby szukać jego sensu aż w Indiach. Jedyna rzecz, na jakiej się znam, to czytanie...

Potrafi całym dniami milczeć, nie pisze też swojej książki. Patrząc na niego, mam ochotę nim potrząsnąć, powiedzieć coś, ale nie umiem wyrazić tego, co czuję. Zapamiętałam kilka wierszy z Little Women: „Prawie codziennie jestem zła. Jo. Nauczyłam się jednak tego nie okazywać i ciągle mam nadzieję, że nauczę się owej złości nie odczuwać, jeśli nawet miałyby mi to zająć następne czterdzieści lat mojego życia”.

Abel mówi: - Tylko kiedy czytam, czuję się bezpiecznie. Widzę wówczas wszelkie możliwe nastroje, twarze i zdarzenia, nie czuję potrzeby używania słów.

Szuka rzeczywistości w książkach, podobnie jak ja szukałam kiedyś kontaktu poprzez teatr. Znaleźliśmy się w tym momencie naszego życia, kiedy jego ucieczka w świat słowa pisanego nie może się spotkać z moim zrozumieniem, bo ja staram się wyjść z tego świata.

Patrząc na jego pochylony kark, ręce nieporadnie splecione na kolanie i nagle przejmuję mnie jego alienacja. Wielka szkoda, kochany, że ludzie, których spotykaliśmy, zapamiętają tylko twoje milczenie i nigdy się nie dowiedzą, kim jesteś, podobnie jak ty nigdy ich już nie poznasz.

Wstaje. Wolno i ociężale zapala kolejno wszystkie lampy. Chwilę stoi przy oknie i patrzy w zimowy wieczór. Północny wiatr miota naszym domkiem jak szaleniec. Tutaj, w ciepłe czterech ścian, powinnam się czuć bezpiecznie. Ale tak nie jest. Mam wrażenie, jakby jego zwrócone ku mnie plecy wykrzykiwały jakąś wiadomość, której nie rozumiem.

Po chwili znów siada na krześle i zapada długa cisza.

- Porozmawiaj ze mną.

- A o czym tu rozmawiać? Czy ty zawsze musisz mówić?

- To może byśmy się położyli?

- Czemu bez przerwy zadajesz pytania? Wystarczy, że przez chwilę jest cicho, a ty już musisz o coś pytać.

Nieskończenie długa pauza. Chcę do niego jakoś dotrzeć. Kiedy jesteśmy blisko siebie i milczymy, ciągle jeszcze istnieje szansa na zmniejszenie dystansu.

- Chciałabym cię kochać, Abel.

- A ja nie mam ochoty mówić o miłości. Nie lepiej porozmawiać o marnotrawstwie? Trwonisz swoje życie. I moje. Marnujesz nasze życie.

- Późno już. Jestem zmęczona.

- Królowa jest zmęczona i rozkazuje mi iść do łóżka. Królowa jest senna. Wszyscy musimy być posłuszni jej życzeniom.

Nie mogę dłużej zostać w tym pokoju. Jestem bezsilna i zalekniona. Jakie to straszne nie móc na niego liczyć. Wszystko, co sobie przekazujemy, zdaje się mówić o wątpliwym.

Gaszę światło, które dotychczas zdobiło nasz wieczór, i nalewam sobie porządnego

drinka. On ciągle siedzi. Przez chwilę mu się przyglądam i odchodzę. Muszę odejść. „Spójrz na mnie! Dotknij mnie!” Bezgłośny krzyk.

Rytuał końcowy jest łatwiejszy. Idę do łazienki, myję zęby i twarz, nastawiam budzik, przekręcam antywłamaniowy zamek i wyciągam kabel telefoniczny z gniazdka. Przedtem, zanim poznałam Abła, stawiałam telefon w lodówce, gdzie dzwonił sobie wśród ogórków i pomidorów. Ale kiedy Abel uznał, że to wcale nie jest zabawne, zaprzestałam tych praktyk.

Nagle staje w drzwiach. Znów na jego widok ogarnia mnie tkliwość. Jest zupełnie sam. Ma tylko mnie. I tylko ja mogę go pocieszyć. Nic jednak nie robię. Milczę. Po dłuższej chwili mówi: - Ciężko mi.

Obejmuję go. Siedzimy obok siebie na łóżku i pocieszam go, jakby był małym dzieckiem, kołyszę w ramionach.

- Ciężko mi - powtarza z westchnieniem i patrzy w sufit nad moją głową, tam, gdzie najchętniej wbija wzrok, kiedy ze mną rozmawia.

Nie wiem, co czuję. Nie teraz. Teraz wiem tylko to, że mnie potrzebuje.

Znów wzdycha, tym razem jak stary człowiek, i mówi prosto w sufit:

- Chciałem ustanowić pewną granicę, rozumiesz, myśleć o jednej, jedynej rzeczy aż do końca. O tobie. Uśmiecham się. Jak to pięknie brzmi, wszystkie moje marzenia, że tym razem to już na zawsze, marzenia o odnalezieniu spokoju z człowiekiem, którego kocham.

- Musimy pracować na nasz związek, Abel. Dla ciebie i dla mnie.

Patrzy na mnie z czułym uśmiechem i głaszcząc mnie po policzku, mówi:

- Nie wierzę, że na miłość trzeba pracować. Wierzę w kochanie.

## ROZMOWA

*Miejsce:* Oslo, Norwegia

*Plan pełny, kamera nie panoramuje*

(ONA i ON tuż po śniadaniu)

ON: Ile to już razy wyjeżdżałaś i zostawiałaś mnie samego?

ONA: Nie wiem. Będziesz, jak wrócę?

ON: Może.

ONA: Mój dom przypomina więzienie z tymi twoimi „może”. Powiedz lepiej, co będziesz robił, jak spędzisz te dni. Powiedz, czy przypadkiem nie zamierzasz wrócić do swojego kraju. Tylko proszę, nigdy więcej „może”.

ON: Pozdrów wszystkich ludzi w Etiopii i powiedz, że jestem po ich stronie, bo cierpią. Przekaż im, że nie obchodzą mnie ich sprawy i że nigdy tam nie pojadę.

ONA: Przekażę.

ON: Możesz też nadmienić, że niektórzy uważają geografę za kwestię natury filozoficznej. Na pewno zrozumieją, bo i dla nich geografia to filozofia. Głód będzie istniał zawsze.

ONA: Nie mógłbyś wpaść na coś innego?

ON: Spytaj ich o sens miłości i sens życia. Jak się znów zobaczymy, chętnie posłucham, co ci odpowiedzieli. To mnie wzbogaci.

ONA: Czy to już wszystko?

ON: Wszystko.

ONA: Wszystko.

(Cięcie)

Pewnego grudniowego dnia, podczas trwającej wojny w Etiopii, UNICEF wypożycza

helikopter od Ministerstwa Obrony. Boję się lecieć tą starą, zardzewiałą rosyjską maszyną, bo zbiorniki paliwa są na zewnątrz, a pod nami, na pustyni Ogadon, walczą partyzanci i mogą nas zestrzelić.

Nasz cel to niewielkie miasteczko. Lecący wraz ze mną minister spraw zagranicznych opowiada, że zostało ono „uwolnione” od Somalijszczyków zaledwie dwa tygodnie temu. Dowiaduję się, że jestem pierwszą Europejką, która przyjeżdża tutaj, by zbadać sytuację.

Stoję obok helikoptera i nie wiem, co powiedzieć. Przede mną miasto w ruinach, miasto, które podobno było bardzo piękne. Widzę ludzi mieszkających w szałasach ze szmat, z resztek ubrań. Są one zbyt małe nawet dla dziecka, a gnieździ się w nich niekiedy ponad dziesięć osób. Najmniejszy ruch musi być skoordynowany z ruchami współmieszkańców.

Dowiaduję się, że wielbłądy i owce tych ludzi zabili i zjedli żołnierze.

- Czy pani wie - mówi minister - że Rosjanie i Amerykanie mogą nas teraz obserwować ze swoich satelitów szpiegowskich? Mogą na przykład zrobić bardzo dokładne zdjęcie jakiegoś obszaru, a nawet sfotografować epolety generałów wroga.

Nie wiedziałam.

Jeśli krążą nad nami, zobaczą niewielką grupkę ludzi, idących przez miasto, w którym walki trwały dwa dni. Słyszę o zastrzelonych mężczyznach, kobietach i dzieciach. Czy satelita widział zabitych, kiedy rozproszył się dym i ucichła strzelanina? Został mi w pamięci obraz martwego mężczyzny, trzymającego kurczowo broń w pozycji gotowej do strzału. Czy jego strach przed zabijaniem był równie silny jak strach przed śmiercią?

Chodzimy wśród ruin. Starszy, półnagi mężczyzna idzie za mną i pyta: - Czemu nie ma jedzenia? Dlaczego nie przywieźliście jedzenia?

Kiedy dostaje odpowiedź, że racje żywnościowe dla tego obszaru są małe i z ledwością starczą dla ocalałych dzieci, mówi: - Ale ja też jestem głodny!

Chcąc go jakoś pocieszyć, z podziwem pokazuję na jego mały wełniany kapelusz. Z wściekłością ściąga go z głowy, wpycha sobie do ust i krzyczy: - Wydaje ci się, że mogę go jeść!

Jakaś kobieta pokazuje mi swoje dziecko:

- Przedtem żyłam jak królowa. Miałam mężczyznę i dużo dzieci. Miałam ogród warzywny i zwierzęta i nigdy nie brakowało nam jedzenia. Potem przyszła wojna. To dziecko to wszystko, co mi zostało. Spójrz na jego włosy - wypadają, spójrz na jego oczy - są ślepe. Proszę, powiedz o mnie kobietom z twojego kraju. Proszę, nie zapomnij o mnie.

Minister opowiada:

- Przedtem nigdy nie było takich wojen między Somalią i Etiopią. Nigdy nie mieliśmy uchodźców. Granica była otwarta. Nasi ludzie to nomadowie. Kiedy zazieleniły się trawy w Somalii, wędrowali do Somalii, a kiedy było zielono w Etiopii, przenosili się tutaj, do Etiopii. Ta wolność poruszania się istniała między nomadami od niepamiętnych czasów.

Członkowie rządu somalijskiego powiedzą później:

- Ci ludzie nie są niczemu winni. To tylko ofiary okoliczności. Dlatego pomoc nie powinna obejmować jakiegoś określonego rządu czy obszaru, ale ludzi, którzy jej potrzebują.

Przechodzimy obok sędziwej staruszki, która ma w podółku trochę orzechów. Siadam przy niej i patrzę, jak dzieli się swoją porcją z małym chłopcem. Przygląda mi się przez chwilę, po czym bez słowa łuska jeden orzech i wkłada mi go do ust.

Jest mniej więcej w moim wieku. Ma długie, lśniące włosy, skórę jak aksamit i jasne oczy; w ogóle nimi nie mruga. Jest owinięta pięknym szalem w czerwono-białe paski. Usłyszawszy helikopter, myślała, że przywieziono żywność, nie jest w stanie zrozumieć, że przyjechaliśmy z pustymi rękami. W końcu siada i oświadcza, że nie ruszy się z miejsca,

dopóki nie przyleci następny helikopter z jedzeniem.

- Czy wie, że może to potrwać kilka dni? - pytam ministra.

- Nie, nie wie. Będzie tu siedzieć i czekać. Potem zrezygnuje, jak wiele innych. Niedługo naschodzi się tutaj tysiące ludzi w nadziei, że dostaną coś do jedzenia.

- Jak często korzystacie z helikoptera do przewozu obserwatorów?

- Rzadko. Obserwatorzy z innych krajów chodzą, przyglądają się i wyrażają swoje współczucie. Są bardzo mili, ale nieczęsto dają potem jakiś znak życia. Mimo to nie możemy jednak zrezygnować, musimy wierzyć, że świat dowie się o cierpieniach naszego narodu.

Kiedy zbieramy się do odlotu, podbiega do nas kobieta w szalu i patrząc mi prosto w oczy, mówi z godnością:

- Nie wiem, co mają inne kobiety. Więc może i one nie wiedzą, czego mnie brakuje. Powiedz im, że prócz tego szala nie mam nic. Może zechcą mi pomóc. Jeśli nie, powoli umrę. Musisz im to powiedzieć!

Obietnica nie zbawi zrozpaczonego człowieka. Może mu jednak przynajmniej na chwilę przynieść ulgę w rozpacz. Ponieważ cierpienie nie daje swoim ofiarom żadnych praw, my, którzy jesteśmy jego świadkami, odpowiadamy za ich przywrócenie.

Jeśli pomoc nadejdzie w chwili, kiedy nikogo już nie będzie i piasek zawieje ślady mówiące o tym, że kiedyś żyli tu ludzie, moim obowiązkiem będzie powiedzieć: - Był tutaj człowiek. Teraz go nie ma, bo go zdradziłam.

Niech wolno mi będzie opowiedzieć historię o wielbłądzie, tym który żyje w zakątku Afryki. Kiedy nomadowie przenoszą się z miejsca na miejsce, cały swój dobytek załadują na wielbłąda.

Ładują dywany, stanowiące dachy ich szałasów, gałęzie czyli szałasów szkielety konstrukcyjne, naczynia, dzbany z wodą, mleko, a w następnej kolejności małe dzieci i nowo narodzone wielbłądy. Czasami również starców i chorych.

Jeśli do wielbłąda nie zbliżyć się powoli albo jeśli jeep narobi hałasu, zwierzę traci panowanie nad sobą i pędzi co sił. I nic nie jest go w stanie zatrzymać. Nie zareaguje nawet na swoje imię, wykrzyknięte przez właściciela. I kiedy tak biegnie, stopniowo spada wszystko, co niesie na grzbiecie. Woda, gałęzie, dywany i dzieci. Nowo narodzone wielbłądy, starcy i chorzy.

Bieg przestraszonego wielbłąda jest niebezpieczny.

Wielbłąda nie można całkowicie oswoić, nie jest on też zbyt inteligentny. To trudne zwierzę, wymaga wiele zachodu, dlatego ci, którzy się nim opiekują, muszą mieć do niego szczególny stosunek. A dla nomadów wielbłąd jest wszystkim.

Poprowadzi na pastwiska, ale ma trudności z przejściem przez krzaki. Człowiek musi mu najpierw przygotować drogę. Usuwa gałęzie, broni przed dzikimi zwierzętami, lecz jego choroby.

Wielbłąd i człowiek żyją w symbiozie. Wzajemnie sobie pomagają.

Dlatego w północno-zachodniej części pustyni Ogadon pewien mężczyzna śpiewa swojemu wielbłądowi:

*Kochany przyjacielu  
Jesteś najpiękniejszym zwierzęciem na świecie  
Jedynym, które może tu żyć  
Jesteś piękny, rączy i bardzo dzielny  
Jesteś królem wszystkich zwierząt  
Widzisz tamte góry?  
Schowała się za nimi lwica*



*Ale ty się nie boisz lwic  
To one boję się ciebie.*

I kiedy tak śpiewa swojemu wielbłądowi, od czasu do czasu naśladowując jego głos, wtrąca: „Tak, tak, masz rację, przyjacielu”.

To bardzo długa pieśń, w której mężczyzna bezustannie komplementuje zwierzę podczas ich wspólnego marszu przez pustynię.

Nomad i jego wielbłąd wolno posuwają się naprzód. I żaden z nich nie czuje się samotny.

W Etiopii, niedaleko granicy z Sudanem leży Surma. Nie prowadzą do niej żadne drogi, Surmy nie znajdzie się na mapie. Od setek lat mieszkają tu nomadowie. W okresie długotrwałej suszy zostali zauważeni przez świat dopiero wówczas, gdy zaczęli umierać. W prześwicie pomiędzy drzew usunięto szare pustynne kamienie i zbudowano prowizoryczny pas startowy i pas do lądowania. Czterdziestoletni DC-3: a, czyli jak go się tutaj nazywa Anioł Łaski, to latający symbol zwycięstwa, przynoszący niewielką nadzieję temu dotkniętemu głodem pustynnemu terenowi. Dwie tony zboża muszą wystarczyć trzynastu prowincjom. Nie tylko Surmie. Jest jeszcze Bume, Kelem, Bale, El Kere, Chereit, Doolo, Imi, Bulki, Gode, Kefalo, Werder i Degh Bur.

Nie ma tych nazw na mapie i może znikną bez śladu wraz z ludźmi, którzy tu mieszkają. Milczący, pokryci szarym pyłem ludzie siedzą na ziemi w długich rzędach, patrzą w niebo i nieprzerwanie wsłuchują się w szum wiatru. Może dzisiaj przybędzie Anioł Łaski.

Niezdarnie lądujemy w prześwicie. Podobno jestem pierwszą białą kobietą, która odwiedza Surmę. Zatrzymujemy się tutaj tylko po to, by rozdzielić żywność.

Trzy i czterolatki po otrzymaniu swoich małych porcji wolno odchodzą z drewnianymi miseczkami zboża, które musi wystarczyć dla całej rodziny. Dzisiaj dostaną jedzenie tylko małe dzieci.

Grupka kobiet śpiewem chce zwrócić na siebie uwagę. Poprzednim razem udało się - dostały swoją część. Może i teraz się poszczęści.

Patrzę na nie. Prawie każda ma dwoje małych dzieci: jedno ssie piers, drugie siedzi na plecach. Przebywają długie trasy w poszukiwaniu orzechów i jagód, które mogą się jeszcze gdzieś trafić, albo suchych gałęzi, potrzebnych do wzmocnienia szalasu. W twardej ziemi, nie mając żadnych narzędzi, kopią przepastne doły, ale zamiast wody znajdują tylko brunatną, gliniastą maź. Te suche leje ciągną się na pustyni kilometrami.

I nagle wspaniałe przeżycie. Jakaś kobieta po rozmowie ze mną dochodzi do wniosku, że ubierze mnie jak pannę młodą. Nigdy się nie dowiem, dlaczego. Zaplata mi włosy.

- A narzeczonego też dostanę? - pytam.

- Przyjedzie do ciebie na białym koniu, zobaczysz.

- Mam córkę w wieku twojej - zwracam się do innej kobiety, która zarzuca mi na ramiona swój szal.

- Nie, to niemożliwe, jesteś za młoda - odpowiada z uśmiechem.

- Jestem przekonana, że jesteśmy rówieśnikami.

Nie wierzy.

- Może pracowałeś ciężiej niż ja.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu, po czym uśmiechając się mówi:

- Tak, chyba bardzo często siedziałaś.

Podchodzi do nas dziewczynka z wymalowaną na żółto twarzą.

- Dlaczego jesteś wymalowana?

- Bo to wygładza skórę.

- Jak maseczka kosmetyczna?

- Tak.
- Mogę dotknąć? Ależ tak, to maseczka.
- Może być biała albo żółta. To zależy.
- Z czego jest zrobiona?
- Z korzeni drzew. Chodzimy z nią pół dnia, a potem ścieramy.
- My robimy tak samo.

Ale obraz Surmy nie będzie w mojej pamięci jednorodny, bo kiedy siedzimy już w samolocie, pilot mówi, że pokaże mi stado dzikich białych koni. I kiedy Anioł Łaski obniża lot i krążymy nad wysokim, czworokątnym płaskowyżem, widzę je. Smukłe, silne ciała o wspaniałej harmonii, które należą do siebie i do innego świata. W ogóle nie reagują na dźwięk samolotu.

- Są dzikie! Dzikie! - szepce uszczęśliwiony minister. - I nikt nie wie, skąd się tu wzięły!

Anioł Łaski zatacza jeszcze jeden łuk i znów się pojawiają. Piękne białe konie spokojnie pasą się na zielonej łące. Nie wiadomo, jak i dlaczego znalazły się na szczycie tego właśnie płaskowyżu. Były tam jednak. Niedostępne.

Potem tracimy je z oczu.

Dowiaduję się, że Anioł Łaski nie ma części zapasowych. Samolot, podobnie jak ludzie, też ma swój czas na ziemi. I chociaż nikt o tym nie mówi, wiem, że mieszkańcy Surmy za rok daremnie będą się wpatrywać w niebo i słuchać szumu wiatru. Anioł Łaski nie przybędzie ani tego, ani żadnego innego dnia. Nigdy.

Czas aniołów wkrótce się skończy.

*Widzę ją, jak zatroskana i zalekniona stoi z małym dzieckiem na ręku. Teren obozu został dotknięty suszą. Jej dziecko powoli umiera z pragnienia. Przed nią - dół w ziemi z mętną, zanieczyszczoną wodą. Musi wybierać: albo dziecko umrze z pragnienia, albo napije się zatrutej wody.*

*Widzę jej wybór. Pochyla się, jej dłoń napelnia się gliniastą mazią i wolno unosi do ust dziecka.*

W Somalii przechodzi przez granicę od dwóch do trzech tysięcy uchodźców dziennie. Ich liczba przewyższa obecnie ogół ludności wielu państw afrykańskich.

Odwiedzam obóz uchodźców powstały przed miesiącem. Trafiło tutaj już siedemdziesiąt pięć tysięcy; każdego dnia napływają setki nowych.

W promieniu wielu kilometrów nie widać ani drzew, ani krzaków, ludzie nie zdobędą opału do przygotowania sobie jedzenia, nie znajdą gałęzi do budowy szałasów. Wszystko, co tylko było do zabrania, wzięły już pierwsze grupy uchodźców. Teren został ogołocony. Radzenie komukolwiek, by gotował brudną wodę, jest bez sensu, bo przecież nie ma na czym jej podgrzać.

Nowo przybyłe rodziny siedzą otoczone swoim dobytkiem. Kilka talerzy, beczułka i kupka ubrań ma im zastąpić dach nad głową.

Dwa dni temu na pustyni pod krzakiem czternastoletnia dziewczynka zaczęła rodzić. Jej matka biegała wokół niej i krzyczała w rozpacz. Cierpienie dziewczynki stało się jej cierpieniem. I kiedy po dwudziestu czterech dramatycznych godzinach urodził się chłopiec, a czternastolatka była bliska śmierci, kobieta nie przestawała krzyczeć. Ludzie, którzy znaleźli tę trójkę, opowiadali później o tym nieustającym krzyku. Jakby ten dźwięk był czymś organicznym.

Kobiety i dziecko przewieziono do obozu uchodźców i tam właśnie ich spotkałam.

Dziewczynka z synkiem leżą na piasku. Ta część obozu służy za szpital, dostała więc koc dla małego, lekarz zszył jej poszarpane ciało. Ojciec dziecka walczy gdzieś w Etiopii. Od siedmiu miesięcy nie miała od niego żadnej wiadomości. Nie wie, czy żyje.

Na piasku w obozie dla uchodźców trzy pokolenia.

W słońcu wszystko wygląda barwnie: bawiące się dzieci, jasnożółte namioty szpitalne, ludzie i ich dobytek, prymitywne wiaty, zbudowane przez kobiety z sękatych krzaków, kolorowe płachty z kawałków materiału i szmat na białej i brunatnej ziemi. Ale o szóstej rano powietrze jest chłodne, małe wychudzone ciała drżą. Dzieci umierają, ponieważ nawet koce są tu luksusem. Śpią ciasno, jedno przy drugim, w poszukiwaniu odrobiny ciepła w innych ciałach, równie słabych i chudych.

Zastanawiam się, o czym śnią.

W tych dniach narasta mój gniew. Chcę być zła. Złość pobudza do działania. Do protestu.

Do czego to podobne, żeby mnie, a także wielu innym kobietom odmówiono prawa do wyrażania gniewu? Dlaczego złość uznaje się za coś niekobiecego i seksualnie odpychającego? Dlaczego w milczeniu patrzyłam na mężczyzn walczących z pasją o to, co uważają za słuszne, zgadzając się na niepoważne traktowanie samodzielności kobiet, określanej mianem „walki kobiet”? Wszydzono mnie, kiedy powiedziałam, że potrzebna jest zmiana, zmiana politycznego języka mężczyzn, ich pychy, męskiego szowinizmu i fałszu, tak typowych dla wielu przywódców. Zostałam też uznana za agresywną, a nawet odstrasżającą mężczyzn. Nic więc dziwnego, że tak wiele kobiet boi się ujawnić swoje poglądy, powiedzieć, co myślą i czują. Przerażają je własne odczucia gniewu.

Patrzemy, jak nasi przywódcy wylewają złość na wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają, twierdząc, że służy to wyższym celom społecznym. Dają nam brutalny, nacechowany konkurencją świat.

Jestem zła. Jestem wściekła, kiedy widzę cierpiące dzieci i wiem, że miliardy dolarów przeznaczają się na przemysł zbrojeniowy i broń zagłady.

Jeśli w dalszym ciągu będę żyć w tych ramach, które inni dla mnie wyrysowali, jeśli nie zdecyduję się na dokonywanie własnych wyborów, moje życie nie będzie miało żadnego sensu. Nic nie będę mogła zmienić.

Odmawiam spędzenia życia na przejmowaniu się tym, czego nie zrobiłam.

Kiedy mijam rząd wiat, zaczepia mnie jedna z kobiet:

- Dlaczego nie przykrywasz głowy? Tutejsze mężatki zawsze to robią.

Mówię jej, że nie mam męża.

- Czy to znaczy, że kobiety z dużych miast nie mogą znaleźć mężczyzny?

Patrzy na mnie przyjaźnie, zamyśla się, po czym odchodzi do grupki stojących w pobliżu mężczyzn. Po krótkiej dyskusji mężczyźni zbliżają się do mnie i najstarszy z nich mówi:

- Nie chcemy tracić czasu na szukanie męża kobiecie zamężnej. Na pewno nie jesteś mężatką?

Powtarzam, że jestem sama.

- Umiesz czytać i pisać.

- Tak.

- No dobrze. Ustawimy wszystkich mężczyzn w szeregu i pozwolimy ci jednego wybrać. Mamy tylko warunek: nauczysz nasze dzieci czytać i pisać.

- Ale ja nie chcę wychodzić za mąż.

- Słuchaj, masz problem i trzeba go rozwiązać. My pomożemy tobie, ty pomożesz nam.

- Chcę być sama.

- A skąd jesteś?
- Z Norwegii.
- Mężczyźni z Norwegii to żadni mężczyźni.

Podbiega do nas jakaś kobieta. Dowiedziałam się, że zanim trafiła do obozu uchodźców, została ciężko poparzona przez żołnierzy. Całuje rękę doktora i powtarza raz za razem: - Dziękuję. Niech Bóg pana błogosławi.

Właśnie robiła herbatę dla synów, kiedy grupa żołnierzy, zobaczywszy dym, postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Na widok żołnierzy dwaj synowie kobiety, pracujący parę metrów dalej, pospiesznie uciekli. Ona była za stara na ucieczkę, a poza tym prowadziła spokojne życie, nikomu nie przeszkadzała, nie była po niczyjej stronie. Uśmiechnęła się do żołnierzy i już miała ich zaprosić na herbatę, kiedy nagle podbiegli do niej, chwycili za kark, wrzucili w ogień i zaczęli deptać jej twarz. Kapitan przyglądał się, jak płonie, a jeden z jego żołnierzy oblał wrzątkiem jej stare nogi. Daremnie próbowała ująć płomieniem.

Wtedy po drugiej stronie drogi pojawili się partyzanci. Widząc zaparkowane ciężarówki, zorientowali się, w czym rzecz. Z krzykiem pobiegli na miejsce i otworzyli ogień. Jedna z kul trafiła kapitana, który jedną nogę trzymał na twarzy kobiety. Runął w ogień. Dwaj synowie zginęli. Kiedy strzelanina w końcu ucichła, zostało przy użyciu tylko trzech partyzantów. Pomogli kobiecie wydostać się z ognia i zaprowadzili ją do mieszkającej dziesięć mil dalej córki. Podczas pobytu u córki wieś została zaatakowana. Kobiecie udało się uciec na ośle. Wnuki i córka zginęli. Poparzona i okaleczona przeszła przez granicę. Przenosiła się potem z obozu do obozu, aż pewnego dnia dotarła tutaj, gdzie nareszcie spotkała lekarza, który znów „dał jej życie”. W ciągu kilku godzin wybudował dla niej porządną wiatę i wielokrotnie zoperował.

Patrzę na rozpromienioną twarz starej kobiety, jej ciało, wsparte na ramieniu lekarza.

Na czterdzieste drugie urodziny dostaję w prezencie od gubernatora Mogadiszu strój narodowy. Dwie starsze kobiety mają roboty na pół godziny, żeby go na mnie udrapować. Chichoczymy, porozumiewamy się gestem i mimiką, jak kobiety, kiedy czują wzajemną bliskość.

Z dużym zainteresowaniem przeglądam się w wysokim, wąskim lustrze. W mrocznym porannym świetle moje ciało owijane w ciężki materiał powoli zmienia kształt. I właśnie wtedy zaczynam rozumieć, jakie znaczenie może mieć ubiór.

Ubiór kieruje moimi ruchami, gestami, a nawet myślami. Nie muszę w nim jednak występować. Jest tylko dla mnie.

Moje ubranie i ja oglądamy się w lustrze o nierównej powierzchni. I w tym mrocznym pokoju w Somalii, gdzie bez pomocy słów zaprzyjaźniam się z dwiema kobietami, przekonuję się o swojej tożsamości.

Pewnego wieczoru, grając w musicalu na Broadwayu, czekałam w kulisie na swoją kwestię. Spojrzałam na długi, wyprany fartuch i nagle uderzyło mnie, że większość dorosłego życia spędziłam w cudzych ubraniach. Ponad dwadzieścia pięć lat jeżdżę po świecie, różne sceny, różne studia filmowe, różne miejsca i różne ubrania.

I cały czas udawać, że jestem kimś innym.

Od rana do późnej nocy w ubraniach szytych dla innej kobiety, tej, którą musiałam się stawać, interpretując daną postać.

## ROZMOWA

Stary człowiek śpiewa z Koranu.

- Trzeba wierzyć w każde słowo Koranu - mówi. - Od czasów Mahometa dużo się zmieniło, ale nie Koran, mimo że można go rozmaicie tłumaczyć. Żaden człowiek nie zmieni słów Boga. Prawa i to wszystko, co stworzył człowiek, mogą się z czasem zmienić, a słowa Boga zostaną nienaruszone.

- Ile czasu poświęcasz swoim księgom i modlitwie?

- Czytam przez większą część doby. Jestem już stary, nie trzeba mi dużo snu. W akademii i w wolnym czasie robię to, co umiem najlepiej: modłę się, śpiewam, czytam. Jestem konsultantem kulturalnym w Somalii, jestem nacjonalistą. Napisałem słynny wiersz, który wszyscy tu znają. To jedna z naszych pieśni narodowych.

- Kiedy go napisałeś?

- W 1941. Mówi o wolności i niezależności. Wzywam ludzi do działania, radzę, jak powinni wyzwolić kraj. Sami. Proszę cudzoziemców, żeby odeszli i pozwolili narodowi Somalii być wolnym. To główna myśl pieśni.

I starzec śpiewa głębokim, pięknym głosem. Ma jasne, niebieskie jak u dziecka oczy. Po skończeniu prosi, żebym usiadła bliżej niego, i mówi tak, jakby się zwierzał najlepszemu przyjacielowi:

- Modliłem się, żeby Bóg zjednoczył wszystkie narody świata i pomógł im zapomnieć o swoich problemach. Żeby nie było agresji i żeby ludzie mogli razem żyć i razem rozwiązywać swoje problemy w pokoju i zgodzie.

- Dużo wierszy napisałeś?

- Trzydzieści dwa.

- Czy wolno spytać mądrego człowieka, w jakim jest wieku?

- Mam siedemdziesiąt sześć lat i może jeszcze trochę.

- Ile masz żon?

- Cztery. I może jeszcze parę.

- Czy to słuszne mieć tyle?

- Tak, jeśli można je utrzymać. Ja mogę i dlatego ożeniłem się z kilkoma.

- A ile masz dzieci?

- Chwileczkę... Razem z wnukami powinno ich być dziewięćdziesięcioro sześciuro. Moich jest trzydzieścioro sześciuro.

- Trzydzieścioro sześciuro dzieci?! Z czterema żonami?

- Mam ich około dziewięciu.

- Jesteś żonaty z dziewięcioma?

- Nie. Kilka zmarło. Teraz mam tylko dwie.

- Ile lat ma twoje najmłodsze dziecko?

- Osiem miesięcy. I jedna żona jest w ciąży.

Przez dłuższą chwilę śmieje się.

- Od jak dawna jest twoją żoną?

- Od około ośmiu lat.

- A ile ma lat?

- Dwadzieścia pięć.

- I to ona jest matką ośmiomiesięcznego dziecka?

- Tak.

- Czy zamierzasz się jeszcze żenić?

- Jestem skłonny ożenić się z jeszcze jedną. Może z Europejką.

Patrzy mi prosto w oczy i znów się śmieje.

Któregoś wieczoru lokalny szef UNICEF-u, pan B., zobaczył, że stolarz pracujący przy budowie szkoły ma zamiar pomalować białą farbą swojego trzyletniego synka. Spytał:

- Czemu chcesz to zrobić? Chłopak dostanie wysypki.
- Wysoko w niebie jest ptak, który nie spuszcza z oka mojego dziecka. Jeśli go nie ukryję, nie pomaluję tą białą farbą, zachoruje albo będzie cierpiał.
- Bzdura - powiedział pan B. - Nie wierz w te brednie.
- Skoro tak mówisz, posłucham cię i nie pomaluję dziecka. A jesteś pewien, że masz rację?
- Tak, uważam, że nie powinieneś tego robić. I nie wierz w takie rzeczy.

Następnego dnia rozległo się pukanie do drzwi biura UNICEF-u. Pan B. otworzył. Za drzwiami stał stolarz Mohammed z synem. Chłopiec trząsał się z gorączki.

- Powiedziałeś, żeby go nie malować - odezwał się stolarz. - Sam widzisz, jak się teraz czuje.

B. wsadził chłopca do jeepa, pognął co sił do szpitala i dopilnował, żeby dziecko miało dobrą opiekę. I chłopiec wyzdrowiał.

- Od tamtej pory, to jest od dwudziestu pięciu lat - mówił B. - ani razu nie wtrąciłem się do spraw wiary innych ludzi.

B., który przepracował w Somalii w różnych organizacjach pomocy ponad trzydzieści lat, opowiedział mi też inną historię:

- Mieliśmy pewien projekt, stawiający na rozwój rzemiosła, między innymi na ceramikę. Byliśmy do tego bardzo zapaleni. Prowadzący projekt, pewien profesor z Meksyku, poprosił mnie o zakup nowoczesnych kół garncarskich. Mieszkańcy mieli już doświadczenie w robocie ceramicznej, bo od lat wyrabiali gliniane dzbany na wodę. Kładli kupkę gliny na okrągłym kamieniu, siadali na ziemi i formowali glinę, obracając kamień stopami.

Kiedy nadeszły europejskie koła garncarskie, zaczęliśmy tych ludzi uczyć, jak ich używać. Nauczyli się bardzo prędko, a po skończeniu kursu podziękowali nam i powiedzieli:

Jesteśmy bardzo wdzięczni. Ale kiedy stąd odejdziemy, postawimy to wasze urządzenie w kącie szopy i będzie sobie tam stało. A jeśli przyjedzie jakiś ważny gość z Mogadiszu albo z Nowego Jorku, wyjmiemy je i pokażemy, że potrafimy go używać.

*Na obiedzie w Dżibuti zwraca się do mnie żona pewnego europejskiego dyplomaty: - Wiesz, nie ma już żadnych problemów. Wszyscy dostali pomoc. Jestem zdania, że zbyt dużą. Rozpieszczą się. Aż przykro o tym mówić.*

Dżibuti ma 303 000 mieszkańców i 30 000 uchodźców. Piętnaście procent to ludzie bezdomni, zmuszeni do opuszczenia swoich domów i zamieszkania w obozach z powodu suszy. Dziewięć na dziesięć kobiet w ciąży cierpi na anemię. Z dwanaściorga dzieci tylko siedmioro rodzi się żywych. Sześćdziesiąt procent dzieci to dzieci niedożywione.

Przypominam sobie moje „herbatki” z dawnych lat. Wszystkie lalki i zwierzątka, ładnie ubrane, siedziały na łóżku: dla każdego była malutka filiżanka, ciasteczka i herbata na niby. I rozmowy, których już nie pamiętam. Te nasze spotkania kończyło zazwyczaj wejście mamy, oznajmiającej, że obiad gotowy. Z living-roomu rozchodziły się wspaniałe zapachy.

Wyjeżdżając z Somalii, usłyszałam: - Jak się powie Dżibuti, to nikt nie chce tam jechać. Może to nie koniec świata, ale można go stamtąd zobaczyć.

Napisałam „Dżibuti” zielonym atramentem we wnętrzu dłoni. Żeby nie zapomnieć.

Kiedy lądujemy w Ali Sabieh, w obozie dla uchodźców, podbiega do nas jakaś kobieta. Jest wściekła. Chce, żebyśmy powiedzieli światu, jak niesprawiedliwe jest życie. Nie pyta, kim jesteśmy. Nie ma zębów i czasem trudno ją zrozumieć, bo mówi niewyraźnie, nawet

kiedy się nieco uspokaja. Jest niewidoma, wskazuje na swoje oczy. Nie przychodzi mi na myśl nic innego, jak tylko pocałować ją w policzek mokry od łez.

Idę przez obóz. Upał, wszystko pokrywa szary pył. Ludzie wokół nas są bliscy śmierci z pragnienia.

Ciężarna matka z westchnieniem siada na ziemi. Kołysze dziecko w ramionach: - Ono nie może nic jeść, a od lekarzy nie mam żadnej pomocy. Pomagają tylko najsilniejszym, bo nie dla wszystkich starcza lekarstw. Całymi dniami śpię, bo co innego mi pozostało?

Odlatujemy. Z góry widzę dzieci. Są coraz mniejsze...

W tym upale spociłam się do tego stopnia, że moje włosy są całkiem mokre. Wyglądam tak, jakbym płakała, a słowo na wewnętrznej stronie dłoni zmył pot.

*Jeśli nawet kiedykolwiek płakał,  
dzisiaj - pisząc te słowa - wiem,  
że jego łzy się wyczerpały i ustał ból.  
Moje serce jest pełne.  
Dziecko, które trzymało mój palec,  
które wywołało przebłysk zrozumienia,  
dało mi chęć wyboru,  
wyboru dla niego - i wyboru dla mnie.*

Pewnego dnia przestałam wierzyć słowom Anny Frank: „W głębi duszy wszyscy ludzie są dobrzy”.

Pewnego dnia, kiedy weszłam do swojego apartamentu w hotelu w Nairobi, radio grało „Dzwony”. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Pokój był miły i przytulny, pod wpływem muzyki ożyły we mnie radosne wspomnienia z lat dziecińczych.

I właśnie wtedy pojawił się przed moimi zamkniętymi powiekami obraz małego chłopca z Somalii. I przestałam wierzyć.

Obraz dziecka wypełnił mnie całkowicie. Chłopiec, który chwycił mnie za palec i bezładnie oprowadzał po obozie uchodźców. Mały nagi chłopiec z pustym talerzem, o stuletnich oczach, z pomarszczoną jak u starca pupą. Najstraszniejsza ofiara wojny i obojętności świata, dowód, że się myliłaś, Anno Frank. Ten chłopiec uświadomił mi, że wcale nie jesteśmy dobrzy, ponieważ to wskutek naszego braku współczucia on stał się ofiarą.

Od tej pory to dziecko żyje we mnie. Jego chuda rączka ciągle trzyma mój palec. Do krótkiego życia tego chłopca przyczynili się ci, którzy nawet nie wiedzieli o jego istnieniu. Bo on bardzo szybko wskutek braku wyboru położy się na piasku pustyni i umrze.

Dlatego właśnie chcę wiedzieć, jakie są moje wybory, i chcę zgodnie z nimi działać. Bo wybór to istota tego, co uważam za bycie człowiekiem. Pragnę zwalczać siły odmawiające jednostce lub narodowi możliwości wyboru. A ponieważ rozumiem, że nie ma nic jednoznacznego, muszę nauczyć się akceptować ambiwalencję, to, że najtrudniejsze momenty życia są niejasne, że najgłębsze dążenie ludzkości ma zarówno wady, jak i zalety.

Mały chłopiec nie miał żadnego innego wyboru, prócz życia według naszych wyborów.

Chciałabym poświęcić swoje życie dziecku, z którym nigdy nie rozmawiałam, którego już prawie na pewno nie ma na pustyni Afryki, dziecku z pustym talerzem. I małą pomarszczoną pupą i starymi, starymi oczami.

## ROZMOWA

**Miejsce:** *Oslo, Norwegia.*

(Wieczór. Na pięknie nakrytym stole błyszczące srebra i kryształy. Róże, pusta butelka szampana. ON nalewa czerwone wino do czystego kieliszka. ONA wnosi półmisek, parujące, barwne jedzenie)

ON: (smakując wina) Mam nadzieję, że spisałaś już swoje złote myśli o głodujących i prześladowanych.

(ONA: patrzy na niego. Podsuwa mu jedzenie)

ON: Przyznaję, że masz więcej energii, niż się po kobiecie można spodziewać. (Podnosi kieliszek). Właściwie nie mogę pojąć, czego taka piękna kobieta szuka wśród żebraków. Ale ponieważ cię kocham, respektuję wszystko, co robisz. Witaj tu, gdzie twoje miejsce. Witaj w domu!

(ONA: milczy. Piją. Przez chwilę jedzą w milczeniu)

ON: Czy myślisz, że niektóre kobiety są progresywne, dlatego że są sławne.

(ONA: uśmiecha się. Nic nie mówi)

ON: A teraz istotne pytanie. Czy kiedykolwiek dowiadywałaś się, gdzie idą nasze pieniądze na pomoc dla potrzebujących?

(ONA: nic nie mówi. Jedzą w milczeniu. Kamera wolno panoramuje pokój: książki, tv, video, nowe stereo, drogie meble, trochę antyków, dobra sztuka)

ON: Dobrze wyglądasz. Podróże świetnie ci robią.

ONA: Dziękuję (pauza), też nie najgorzej wyglądasz. Trochę przytyłeś. Służy ci życie beze mnie.

ON: Staram się, jak mogę, żeby się bardziej upodobnić do ciebie.

(ON: śmieje się. Pauza)

ONA: To przyjemne uczucie znów być tutaj. Widzieć, że zainwestowałaś mnóstwo czasu na przygotowanie tego wspaniałego obiadu i że nie musimy już samotnie kłaść się do łóżka. (ONA podnosi kieliszek. Trącają się)

(Zbliżenie JEGO)

ON: Dlaczego bez przerwy musisz szukać jakiegoś sensu?

ONA: Wydaje mi się, że przyszliśmy na świat z zalakowanymi zadaniami. I myślę, że tylko ci, którym brak zapału, gardzą sensem.

(ONA: uśmiecha się. Pauza. Przejście na stół)

ON: A jaka jest twoja opinia?

ONA: O czym?

ON: O podróży.

ONA: Na szczęście wszystko jest bardzo, bardzo proste.

(ONA: milknie. Zbliżenie JEGO)

ONA: A jaka jest twoja opinia?

(Zbliżenie JEJ)

ON: O czym?

ONA: O wszystkim. Pytasz zawsze mnie. Komentujesz wszystko, co ja robię. Co ja mówię. Kim ja jestem. A tymczasem nic nie wiem o tobie, kim ty jesteś poza swoimi książkami.

(Zbliżenie JEGO)

ON: Przestałaś już być drażliwa. Szkoda. Straciłaś swoją najbardziej kobiecą cechę, kochanie.

(ONA: uśmiecha się, potem wolno wstaje od stołu, wolno składa serwetkę i nagle, w ułamku sekundy, uśmiech znika z jej twarzy. Krzyczy, ciska butelkę wina o podłogę, prze-



wraca kieliszki i wypada z pokoju.)

(Kamera na NIEGO)

(Kamera na czerwone wino na pięknym obrusie)

(Obraz zanika)

### CZ. 3 UPIORY

Ostatnio coraz częściej przychodzi mi do głowy, że to, co robię w teatrze czy w studiu filmowym, to oszustwo. Przetawienie stóp z jednej strony sceny na drugą stało się dla mnie pewnego rodzaju wysiłkiem. Lawrence Olivier mówił mi kiedyś, że miał bardzo podobne odczucia. Z trudem przychodziło mu wypowiadanie swoich kwestii i z niepokojem myślał o tym, że nie przypomni sobie, co dalej.

Może to cecha średniego wieku? A może tylko świadomość, że trzeba wybierać?

Podczas zdjęć do norweskiego filmu, mimo że praca ze starymi przyjaciółmi jest bardzo miła, silniej niż kiedykolwiek odczuwam potrzebę odejścia na czas jakiś z teatru i filmu, potrzebę zmiany swojego życia. Żeby tak wyjść przez sceniczne drzwi jak Nora Ibsena i pójść swoją drogą, nie zastanawiając się nawet, dokąd ta droga prowadzi.

Nie chcę, bym u schyłku życia na pytanie, co z nim zrobiłam, musiała odpowiedzieć: - Grałam teatr. Chciałabym odpowiedzieć: - Kochałam i niekiedy byłam zdezorientowana. Cieszyłam się i martwiłam. I wszystko to pragnęłabym zacząć od początku.

*Uczę się współczucia. Widzę je u ludzi starych i dzieci, w relacjach i samotności, szukam go w sobie. Niektórzy okazują najwięcej współczucia wówczas, kiedy jest im najciężej.*

Na długo przed poznaniem Abła napisałam na zamówienie scenariusz filmowy i całym nieoczekiwaniem poproszono mnie, bym go sama wyreżyserowała. Ten zaledwie piętnastominutowy film stanowi jedną z sześciu nowelek o miłości. Sześć kobiet zaproponowało swoje wersje. Czy potrafię wyreżyserować coś, co sama napisałam? Czy się odważę?

- Zrób to - namawia Abel.

- Nie zdążę - odpowiadam z paniką w głosie.

- Pomogę ci - przyrzeka.

Mimo to nie jestem zdecydowana. Czuję, że przedsięwzięcie jest ryzykowne, a poza tym przywykłam do innego rodzaju analizy dramatu. W końcu zgadzam się.

W ostatnim momencie Abła przestaje obchodzić moja nowa praca. Trudno mi pojąć, że byłoby mu lżej, gdybym mniej angażowała się w coś, co nie dotyczy nas obojga. Czasem wydaje mi się, że gdybym poniosła porażkę, mniej by cierpiał. Jak wiele kobiet przede mną i z pewnością po mnie, jestem niemal skłonna się poddać, byle tylko poprawić nasz związek. W fałszywej wierze, że oboje będziemy wówczas szczęśliwi.

Jego miłość do mnie to namiętność, która w żaden sposób nie łączy się z moimi zawodowymi umiejętnościami. Pomału uczę się, że powody naszych wzajemnych uczuć są różne.

Cieszę się z jego sukcesów, przykro mi, kiedy nic mu nie wychodzi. Ale mimo to w skrytości ducha marzy mi się, by moje poszukiwanie sensu stało się jego, by moje ruchy odbiły się w jego ruchach. Jakbym miała jakiegokolwiek prawo oczekiwać, żeby jego reakcje potwierdzały moje wybory.

Moja nowelka filmowa opowiada o starym człowieku, którego niedołączna żona przebywa w zakładzie. To film o starości, często znacznie bardziej przerażającej od śmierci i bardziej niż śmierć samotnej. Upadek ciała i umysłu, gorzki koniec, gdy zabraknie współczucia.

Chcę opowiedzieć historię starego człowieka, stróża miłości.

Przychodzę do studia w Toronto z nadzieją, że reżyserskiego fachu nauczę się podczas pracy, inaczej bowiem nigdy nie będą wiedziała, czy w ogóle to potrafię. Kiedy udaję pewną siebie, czuję, że wszyscy patrzą na mnie sceptycznie. To Abel mi poradził, żebym sprawiała takie wrażenie, nawet jeśli bym wewnętrznie trzęsła się ze strachu. I chociaż brak mi najmniejszych podstaw do przypuszczeń, że jakoś z tego wybrnę, wmawiam sobie, że znakomicie nad wszystkim panuję. Nie całkiem zaskoczona odkrywam, że moje dwudziestopięcioletnie doświadczenie w pracy aktorskiej pomaga mi w znalezieniu właściwych rozwiązań.

Wkrótce zaczynam marzyć o wyreżyserowaniu całego filmu, wszystkich sześciu nowelek, imponują mi możliwości zawodu reżysera, a nowo nabyta umiejętność wyrażania stanowczych sądów, zamiast dotychczasowej uprzejmości, daje mi siłę, której nigdy przedtem nie umiałam z siebie wydobyć.

- Niech się mają na baczności - oznajmiam Ablowi przez telefon. - Mam zamiar powtórzyć sobie moje aktorskie niepowodzenia i wziąć rewanż za niemożność decydowania.

Prosi, żebym jak najszybciej do niego wracała, po czym dodaje:

- Uwważaj! Zaczynasz przemawiać jak orędowniczka feminizmu!

Odtwórca głównej roli, siedemdziesięcioletni Charles Joliffe, to wspaniały aktor i człowiek. Były, emerytowany nauczyciel dramatu o uśmiechu łagodnym jak wiosenny poranek. Jego pomarszczona, szara twarz emanuje niewinnością, którą odruchowo ma się ochotę osłaniać.

- No proszę, musiałem czekać do późnej starości, żeby dostać swoją pierwszą nagą scenę - mówi radośnie, czekając w stroju Adamowym na „filmową” kąpiel.

Nowelka „Rozstanie” opowiada o jednym przedpołudniu w życiu starego człowieka:

Budzi się w podwójnym, małżeńskim łóżu i kiedy z bezgłośnym westchnieniem odwraca się do okna, jego twarz lekko barwi wschodzące słońce. Po dłuższej chwili ostrożnie spuszcza bosa stopy na podłogę. Potem siedzi bez ruchu, zatopiony w myślach, w olbrzymiej wannie; widać tylko jego małą, sędziwą głowę i kropelki potu na skroniach. Śniadanie - tost i herbata - je przy pięknie nakrytym stole. Kot wskakuje mu na kolano, na moment przerywając jego samotność, a kiedy chce go pogłaskać, zeskakuje.

Drżącymi rękami przygotowuje kosz z jedzeniem. Wlewa do termosu bulion, troskliwie doglądany podczas gotowania; trochę się wylewa poza termos. Wkłada do kosza świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i schludnie złożony obrus w czerwoną kratkę. Nie zapomina też o butelce z wodą. I kiedy tak chodzi dokoła i szuka różnych rzeczy, dokonuje się w nim wyraźna zmiana. Jego ruchy i mimikę zaczyna teraz cechować pewien nastrój oczekiwania. Ten stary człowiek ma jakąś tajemnicę.

Widać ją w rytualnych przygotowaniach do rendez-vous. Twarz pełna uczucia. Wewnętrzne podniecenie.

A potem widzimy go na ulicy. Z daleka dobiega śmiech dzieci, tuż obok spieszą ludzie, nikt nie patrzy na lekko zgarbionego, starego człowieka, który maszeruje tak różnie, jakby go zaprzętały ważne sprawy. Pewnie przekracza bramę dużego, szarego budynku, wędruje nie kończącymi się korytarzami, aż wreszcie zatrzymuje się przed oblażonymi z farby, łuszczącymi się drzwiami. I kiedy je otwiera, na twarzy wykwiła mu promienny, ciepły uśmiech! Tak wygląda zakochany mężczyzna. Stary człowiek wypełnia ponury pokój szpitalny blaskiem słońca.

Tam jest Ona!

Dawno już jego żona odeszła w krainę marzeń, leżała bez ruchu, spokojnie, w ciszy, i wpatrywała się w ścianę. Ale teraz przybył jej rycerz, wszedł do jej pałacu z koszem pełnym prezentów, wypełnił pokój miłością i czułością.

Ponieważ nie ma w tej scenie dialogu i niepotrzebne tu mikrofony, udzielam wskazówek podczas pracy kamery:

- ...Popraw jej poduszki, Charles. A teraz serwetka. Spójrz na jej dłonie, czy nie są zziębnięte i zeszywniałe? Teraz możesz ją nakarmić, łyżkę zabrałeś ze sobą... Drzysz, Charles, prawda? Rozlewasz trochę zupy na koc. Jesteś zmieszany... tak trudno być starym... Odczuj to, popatrz na nią - jesteś szczęśliwy, widząc, że jedzenie przywraca jej siły. Czy jej policzki nabierają koloru?... Spróbuj, żeby wzięła jeszcze jedną łyżkę... Nie chce... Zawsze była uparta, prawda...?

Popatrzcie, jak ten stary człowiek masuje jej nieruchome dłonie spoczywające na kocu. Popatrzcie, jak wkłada okulary, wyjmuje starą, zniszczoną Biblię i po raz pierwszy się odzywa. W głębokim mroku, szczelnie spowijającym życie niedołęznej kobiety, rozlega się miękki, ciepły głos:

„Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, byłbym miedzią dzwiczącą lub cymbałem brzęczącym.

I choćbym miał dar prorokowania, i znał wszystkie tajemnice, i posiadał całą wiedzę, i choćbym miał pełnię wiary, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym.

I choćbym rozdawał całe mienie swoje, i choćbym ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi to nie pomoże”.

Na parapecie stoi nieduża roślina doniczkowa. Stary człowiek delikatnie spryskuje ją wodą z butelki, którą przyniósł z domu.

Jego dłoń porusza się czule - jak najczulej - dotyka twarzy kobiety - koi jej samotność.

A potem odchodzi. Znow widzimy drobnego staruszka wśród spieszących się ludzi, którzy nie zwracają na niego uwagi. Znika za zakrętem. Ulica jest pusta.

*Ojcze Doc,  
któryś jest W Pałacu Narodu na wieczność  
Święć się imię twoje  
Bądź wola twoja  
Tako w Port-au-Prince  
Jak i w prowincji*

*Daj nam dzisiaj  
Nowe Haiti*

*I nie odpuszczaj win  
Naszym wrogom  
Którzy codziennie  
Opluwają nasz kraj.*

*Zawiedz ich na pokuszenie  
Aby własnym jadem otruci  
Nie byli zbawieni ode złego.*

Tę modlitwę, zamiast „Ojcze nasz”, wprowadził do szkół „Papa Doc” Duvalier, kiedy został wyklęty przez Watykan w roku 1961.

Pewnego niedzielnego poranka ląduję w stolicy Haiti, Port-au-Prince. O ile wzrok mnie nie myli, w hotelu prawie ani jednego gościa. Dyrektor spieszy mi na spotkanie z wylewnym uśmiechem. Niemal pchając mnie korytarzami, wprowadza do pokoju i prosi, żebym przeczytała broszurkę informacyjną, którą usłużnie mi wtyka. Czytam:

„Cudowne Haiti. Codziennie nasz basen jest dokładnie czyszczony i obsypywany kwiatem ketmi. Co wieczór do kąpieli w świetle księżyca rozbłyska podwodna iluminacja. Codziennie, z najlepszymi życzeniami od dyrekcji hotelu, wstawiamy do twojej lodówki miskę świeżych owoców, a na tarasie podajemy luksusowe śniadanie. Wieczorem, po spożyciu posiłku w naszym światowej sławy bufecie zapraszamy na taniec pod gwiazdami. Oferujemy: narty wodne, żaglówki, skoki do wody lub, jeśli wolisz, po prostu korzystanie ze słońca.

Takie jest życie na naszym cudownym Haiti!”

A kwartał dalej poznaję inne Haiti. Ulice są tu zaśmiecone, pełno żebraków, ulicznych sprzedawców i prostytutek. Za ledwie kilkuset zamożnych mieszkańców ma kanalizację. Z niepokojem patrzę na ubogich myjących się wodą, która spływa z willi: mężczyźni, kobiety i dzieci kucają obok rury kanalizacyjnej, żeby umyć się w nieczystościach innych ludzi.

Za luksus posiadania bieżącej wody i basenu płaci się tutaj osiem dolarów miesięcznie. Natomiast ci, którzy nie mają nic, za piętnaście litrów brudnej wody, sprzedawanej na ulicy, muszą płacić sześć centów.

Oficjalna najniższa dniówka w kraju wynosi dwa dolary i siedemdziesiąt pięć centów, ale większość biednych, których spotykam, dostaje od jednego do półtora dolara, jeśli w ogóle uda im się cokolwiek zarobić. Dla przybliżenia realnej wartości dwóch dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów podaję, że litr mleka wynosi 25% tej sumy, tuzin jaj - 50%, a pół kilograma mięsa - ponad jedną trzecią.

Jadąc ulicami Port-au-Prince, widzę duże, zdobione złotymi literami, barwne wstęgi z „filozofią” Papy Doca i Baby Doc. Mimo że poziom analfabetyzmu jest tu bardzo wysoki i większość nie umie odczytać owych złotych myśli, kiedy tylko prezydent pojawi się na ulicy w kawalkadzie samochodów, biedni z nabożną czcią padają na kolana.

Dziewięćdziesiąt procent siły roboczej w sektorze przemysłowym to kobiety. Są gorzej opłacane od mężczyzn i liczy się tu na to, że nie będą one tworzyły własnych związków i że nie będą strajkowały.

W mieście nie ma szaletów publicznych. Zastępuje je sześć ciężarówek, które zbierają nieczystości i wywożą sześć i pół mili za miasto. Ale jeżdżą tylko wtedy, kiedy jest benzyna. Co nie zdarza się zbyt często.

W Port-au-Prince na tysiąc osób dwieście umiera z braku pożywienia.

Matki nie karmią piersią. Od człowieka uważanego tutaj za jedyny autorytet dowiadują się bowiem, że surogat mleka jest dla niemowląt znacznie lepszy. Drogi proszek, na którego zakup ich nie stać, miesza się z nieprzeżytą, zanieczyszczoną wodą.

Na peryferiach miasta widzę piękne pomniki stawiane zmarłym. Każdy grób to malutki, zdobny pałacyk. Obyczaj nakazuje, żeby człowieka chować wytwornie. „Cierpiąc biedę na ziemi, po śmierci chcemy żyć okazale”.

Zapraszają mnie do siebie, do małej szopy, dwie siostry. Jesteśmy chyba w jednym wieku. Wstydlivsza ściąga bluzkę i na zniszczone spodnie wkłada bawełnianą sukienkę w niebieskie kwiaty. Daje znak siostrze, żeby poszła w jej ślady, ale ta wyraźnie się tym nie przejmuje. Stoję przy drzwiach, ponieważ nie ma tu na czym usiąść, nie ma nawet koca, ale mimo to czuję się tu mile widzianym gościem. Kiedyś siostry miały łóżko. Nie udało im się jednak zdobyć materaca, więc łóżko poszło na opał. - Zarabiamy parę groszy gotowaniem jedzenia dla ludzi z okolicy - mówią, a widząc moje zdziwienie, śmieją się: - Nie wierzysz, że biedni stołują się poza domem? Jeśli nie dostaną ani węgla, ani drzewa, u nas, za niewielką opłatą, zawsze coś zjedzą. Gotujemy dla wielu rodzin.

Przed ich domem matka wyciera dziecko, chłopiec i dziewczynka porównują swoje ręce, jakiś mężczyzna wyłapuje psu pchły.

A inna dziewczynka po prostu stoi. Wygląda na piętnaście lat. Z wysiłkiem opiera się na bardzo prymitywnych kulach i zebrze. Jej lewa noga, straszliwie zniekształcona, sterczy w górę. Pomnik nędzy i wielkiego smutku. Jestem wstrząśnięta.

Siostry tłumaczą mi to, co o sobie opowiada:

- Kiedyś poprosiłam lekarza, żeby mi obciął nogę. Zapytał, czy mam pieniądze, a kiedy powiedziałam, że nie mam, kazał mi się wynosić. Nie mogę znaleźć nikogo, kto by mnie od tej nogi uwolnił.

Delikatna, piękna twarz dziewczyny wyraźnie kontrastuje z jej ułomnym ciałem. Głos ma czysty i jasny jak górski potok.

Nigdy nie chodziła do szkoły. Nigdy nie znalazła pracy. Nie sędzę, by miała jakichś krewnych.

- Bez tej nogi moje życie byłoby może lepsze - mówi.

Nie ma mieszkania, nie wie, ile ma lat, ale zna swoje imię: Charity \*.

Nagle widzę przed sobą starego człowieka z mojego filmu, jak czyta Biblię żonie. Echo słów, które sama wybrałam parę miesięcy temu, uznawszy, że powinien je odczytać:

„Gdy byłem dziecięciem, mówiłem jak dziecko, myślałem jak dziecko, rozumowałem jak dziecko; lecz gdy na męża wyrosłem, zaniechałem tego, co dziecięce.

Teraz bowiem widzimy, jakby przez zwierciadło i niby w zagadce, ale wówczas twarzą w twarz. Teraz poznanie moje jest cząstkowe, ale wówczas poznam tak, jak jestem poznany.

Teraz więc pozostaje wiara, nadzieja, miłość, te trzy; lecz z nich największa jest miłość”

Kiedy zwiedzam szpital dla biednych, prosi, żebym włożyła fartuch. To mój ostatni dzień w kraju, w którym jej mąż jest dożywotnim prezydentem.

Dostaję niezwykle elegancki żółty fartuch, ona wkłada różowy. Budynek szpitalny jest najczystszy ze wszystkich, jakie widziałam na Haiti. Posadzki lśnią. W każdym pokoju meble i odpowiednio do nich dobrane koce. Na oddziale dziecięcym w łóżeczkach siedzą lalki, a na ścianach wiszą kolorowe obrazki kwiatów, ptaków i motyli. Piękne zasłonki w oknach harmonizują z narzutami. Laboratoria wyposażone w najnowocześniejszą aparaturę techniczną i wspaniałe sale operacyjne.

Brakuje tylko pacjentów. Pytam, dlaczego. A pierwsza dama Haiti:

- Niestety, nie znaleźliśmy jeszcze odpowiedniego przypadku.

Po wyjściu ze szpitala mija mnie pięciu mężczyzn. Ciągną ogromny wózek po brzegi wyładowany drewnem. Są spoceni i wyraźnie osłabieni tym przeraźliwym upałem. W najlepszym razie mogą zarabiać dolara za dniówkę.

W szczątkach małej chaty mieszka stary człowiek. Nad drzwiami ktoś wymalował: „Bogactwem człowieka jest przede wszystkim zdrowie i praca”.

Gdyby ten stary człowiek mógł zobaczyć wspaniały szpital, w którym pielęgniarki i lekarze czekają w wytwornych fartuchach na odpowiednie przypadki. Na jego łóżku leży sieć. Kobieta, która mnie do niego prowadzi, mówi, że sąsiedzi nie chcą jego towarzystwa. Smród wyjątkowo tu przenikliwy, nad głową starca chmara much. Groteskowo dużą głowę częściowo zasłania płachta. Przypuszczam, że ma go ona chronić przed palącym słońcem. Kiedy kobieta podnosi płachtę, widzę zsiniałą twarz. To chyba jedna z odmian raka. Pełzają po niej robaki, które kobieta zdejmuje każdego dnia. Bezskutecznie.

Z chudego, starego ciała, wciąż jeszcze żyjącego, wydobywa się wylęknięty głos, błagający o litość.

Jeżdżę już od dłuższego czasu i jestem zdecydowana robić to nadal. Nieznani ludzie,

\* Miłosierdzie

którzy mnie z różnych powodów wzruszyli, nowe głosy, ciepłe oddechy muskające twarz, kiedy słuchałam opowieści o czyimś życiu.

Mimo że najbliższe mi osoby i przyjaciele są daleko, nie czuję się samotna. Co dziwniejsze, mam wrażenie, że jestem bliżej nich, aniżeli wówczas, kiedy wracam do domu i nie wiem, jak przekazać to wszystko, co przeżyłam.

Łapię się na tym, że oglądam na zdjęciach roześmiane twarze dzieci, które utrwalił aparat fotograficzny, nieustannie przypominają o zaufaniu. Kobiety uchwycone podczas gwałtownych wypowiedzi, wzburzone lub spokojne, kobiety, o których obiecałam nie zapomnieć.

Chcę być z nimi, a jednocześnie ogarnia mnie niepokój, że moje normalne, codzienne życia wymaże ich wizerunki.

Nie chcę wracać do swoich starych przyzwyczajzeń, nie przyjmuję ról, zasłaniając się brakiem chęci. A prawda jest taka, że boję się utraty więzi z tym sposobem odczuwania rzeczywistości i tym rodzajem współczucia, jakie wzbudzili we mnie ludzie, których być może już nigdy nie zobaczę.

Jedynie Linn jest pomostem między moimi nowymi doświadczeniami a codziennym życiem. Jej zmartwienia i radości w jakiś przedziwny sposób utwierdzają mnie w konieczności podróżowania. I kiedy patrzę na jej piękne, szczupłe ciało, wypełnione gorączkowym, kobiecym oczekiwaniem, na jej oczy, które przez chwilę lśnią, by za moment wypełnić się łzami zniecierpliwienia, na jej nagłą czułość i ufność, te ciągle zmieniające się nastroje - dochodzę do wniosku, że ona także wywołuje we mnie uczucie tęsknoty za domem.

Tęsknię za swoją miłością. Za czasem, kiedy wszystko było możliwe.

Podróżuję nie tylko w poszukiwaniu sensu. Szukam utraconego dzieciństwa, dni, kiedy marzenia i rzeczywistość były jednym.

Kiedy Linn miała dwa lata, odwiedził ją jej ojciec, rzadki gość. Wyszli na spacer i brodzili w głębokim śniegu. Było bardzo zimno, Linn miała na sobie palto i nowe ciepłe botki.

Ojciec i córka szli w milczeniu.

Po dłuższej chwili zauważył, że dwulatka jest zmęczona i wziął ją na rękę. Oboje patrzyli przed siebie, jeden profil obok miniaturki drugiego, śnieg siekł ich twarze. I żadne nie powiedziało słowa.

Tak minęło popołudnie.

O zmierzchu usłyszał jej głosik po raz pierwszy. Nadal siedziała na jego ręku wyprostowana, z twarzą zwróconą w kierunku wiatru, jak on.

Usłyszał: - Babcia kupiła mi zupełnie nowe buty.

Dopiero wtedy, zauważył, co zgubiła. Zobaczył jej gołe, zmarznięte stopy.

Pamiętam też inne zdarzenie z dzieciństwa Linn:

Kiedy jej tata kończył sześćdziesiąt lat i w domu było pełno przyjaciół i krewnych, oboje wybrali się nad morze. Linn miała wtedy dziewięć lat. Ojciec spytał ją, co będzie robiła, kiedy skończy sześćdziesiąt lat. Przez chwilę się namyślała i odparła, że urządzi przyjęcie, zupełnie jak on, ale tylko dla przyjaciół. Chociaż może zaprosi mamę, wtedy była aktorkę, bardzo starą i nie nadającą się do żadnej rozmowy.

Ojciec spojrzał na nią i zapytał: - A taty nie zaprosisz? Ty przecież przyszłaś na moje sześćdziesiąte urodziny.

Popatrzyła na niego w milczeniu, zaśmiała się z ulgą i powiedziała: - Oj, tato! Jak zrobi się ciemno i wszyscy będą tańczyć, jeść i pić, pójdę sama nad morze i ty wtedy przyjdiesz do mnie, tańcząc na grzbietach fal.

Teraz Linn ma szesnaście lat. Ja dobiłam do półmetka i obserwuję, jak mała dziewczynka wyrasta na kobietę. Przerazające i piękne uczucie.

Spójrz, jak rzeka dumnie toczy się swoim torem. Rzeka mojego dzieciństwa płynie ku morzu.

Spójrz, jak woda wypływa ze źródła, by powrócić jak deszcz.

Babcia opowiada, że wszystko jest w podróży.

Jedno następuje po drugim, wszystko jest w podróży.

I ja jestem w tym ruchu - jak ziemia wyrwana górom.

Płynie podziemnymi strumieniami.

„Popatrz na kwiaty rosnące na brzegu”, mówi staruszka. „Spójrz, jak łączywie piją wodę korzeniami”.

Rzeka mojego dzieciństwa w drodze do morza.

„Jest święta”, mówi babcia.

I woda wznosi się do nieba w blasku słońca.

„Wróci przed świtem i okraśli rośliny rosą.

Spójrz na ruch, w którym wszyscy jesteśmy - rzeka i drzewa, i kwiaty, i mech, i nawet ja - wszyscy jesteśmy święci.

Spójrz na rzekę, która płynie swoim torem”, szeptem.

„Wstrzymać ją to wstrzymać życie”.

- Musisz wrócić na scenę - mówi Abel. - Na co czekasz? Nie zapominaj, że tam jest twoje miejsce.

Wcale nie jestem tego taka pewna.

- Pomyśl o potomności.

- Prawdę mówiąc, potomność nigdy nic dla mnie nie zrobiła.

- Czego ty właściwie chcesz od życia? - pyta Abel.

- Może zrozumieć jego sens. Może uwolnić się od duchów przeszłości. Może być w ciągłym ruchu. A może jestem skandynawskim dębem...

Patrzy na mnie.

- Nigdy o nich nie słyszałeś? Rosły sobie na dalekiej północy w czasach, kiedy było tam jeszcze ciepło. Pewnego dnia jakimś sposobem odebrały wiadomość, że szykuje się zmiana klimatu. I rozpoczęły swoją wędrówkę. Żołędzie gromadziły tylko po jednej stronie, południowej, bo posuwały się na południe. Tak właśnie wędrowały skandynawskie dęby miliony lat, dopóki wreszcie nie osiadły w Hiszpanii.

Uśmiecha się do mnie.

- Jesteś teraz wędrującym dębem? Skąd? I dokąd?

- Nie wiem, Abel. Jak dęby, jakimś sposobem odebrałam wiadomość.

*W Centrum Kennedy'ego i na Broadwayu wystąpię gościnnie jako pani Alwing w „Upiorach” Henrika Ibsena.*

*Przed prapremierą sztuki Ibsen pisał do swojego przyjaciela Hegla: „Przypuszczalnie »Upiory« wywołają konsternację w niektórych kręgach społeczeństwa. Jeśli tak się nie stanie, będzie to oznaczać, że nie było żadnych powodów, by sztuka ta powstała”.*

*I ja mam nadzieję, że uda nam się zrobić przedstawienie, które skonsternuje publiczność roku 1982.*

Rok wcześniej, kiedy jestem w Norwegii, dostaję telegram z pytaniem, czy zgodziłabym się zagrać w „Ghosts” Ibsena. Wydaje mi się, że jest to angielski tytuł „Naar vi dóde baagner \*”, jednej z moich najulubieńszych sztuk tego dramaturga. Jestem akurat w odpo-

\* „Gdy się zbudzimy spośród zmarłych”

wiednim wieku, żeby grać Irene, i zawsze, jeszcze jako aktorka teatralna, myślałam o tej roli. Telegrafuję więc do USA: „Z przyjemnością wezmę udział w »Ghosts«”.

Przez pół roku pracowicie przygotowuję się do roli w Ibsenowskim dramacie o sztuce, marzeniach i śmierci. Ale pewnego dnia mój serdeczny przyjaciel nieoczekiwanie pyta:

- Jaki jest angielski tytuł tej sztuki?

- Ghosts.

- Ghosts? Ależ, Liv, to przecież coś zupełnie innego! To sztuka o pani Alwing!

Tak więc zgodziłam się zagrać kobietę wiele starszą od siebie. Wyraźnie daje o sobie znać ujemna strona bycia Norweżką, która musi się na co dzień posługiwać angielskim.

Jestem tak zażenowana, że nie umiem się już z tego wycofać.

„Upiory” są dramatem o lęku, o ludziach, którzy nie mają odwagi żyć tak, jakby sami tego chcieli, ponieważ zbyt mocno tkwią w konwencji.

To dramat o młodym człowieku, Oswaldzie, który tęskni do słońca, kocha sztukę i miłość, ale obawia się, że nigdy nie zazna szczęścia w kraju, gdzie prawa ustanawia społeczeństwo skostniałe, owe dławiące go „Upiory”.

Będę grała jego matkę, kobietę czytana, która podczas lat spędzonych samotnie osiągnęła pewną mądrość, lecz zamiast ją ujawnić, ukryła się za kłamstwami. Stworzyła upiory, choć próbowała je zniszczyć.

Myślę, że moja wiedza i doświadczenie okażą się przydatne w tej inscenizacji.

Ponieważ dramat powinien przystawać do warunków amerykańskich, zostaję poproszona o dokonanie przekładu filologicznego z norweskiego oryginału. Spędzam nad tym większą część grudnia 1981 roku i uważam to za bardzo stymulujące zajęcie.

Książka Abła wolno posuwa się naprzód. Bywa, że całymi dniami siedzi nad jedną stroną, ale kiedy czasem czyta mi to, co napisał, jestem bardzo poruszona. Jego wizje mają dużo uroku nawet wówczas, gdy znaczy je smutek. Może właśnie jego pełna namiętności dusza, tak wyczulona na smutek, uniemożliwia mu bycie szczęśliwym.

Pracujemy w living-roomie. Jedną stronę dużego biurka okupuje smutek, druga - zмага się z upiorami.

Pomału zaczynam już czuć w sobie kobietę, którą będę grała. Szepcę jej słowa i wyobrażam sobie jej myśli. Budzi się do życia w moim czerwonym pokoju. Ma twarz kobiety, którą widziałam kiedyś, czekając na zmianę świateł sygnalizacyjnych. Błada, smutna twarz za szybą samochodu, obraz przegranego życia, niknący w tłumie.

Siedząc przy biurku nad tłumaczeniem dramatu Ibsena, poddaję się magii teatru i możliwościom mojego zawodu. I kiedy czytam tę sztukę sprzed stu lat, pisaną w gniewie i bólu, nie mogę się wprost doczekać prób.

Mam nadzieję, że uda nam się stworzyć taki rodzaj tkliwości między matką i synem, że gdy matka go utraci i wszystko się dla niej skończy, publiczność będzie wstrząśnięta jej pełną poświęcenia walką i jej klęską. Słyszając syna mówiącego o śmierci, obejmuje go jak w gwałtownym, silnym pożądaniu. Jest niczym potężna rzeka.

To siła tych, którzy wyzywają los; matka sprzeciwi się bogom, żeby ratować swoje dziecko. I wówczas, jak dopust Boży, męczą ją upiory. Tonie. Śmierć wkrada się do pokoju. Ibsen pisze, że ona krzyczy. Tak, jej ból pulsuje jak podczas odpływu krwi. Wiecznego odpływu. Krzyk to niemal bezgłośnie tchnienie.



### *Pierwszy dzień prób*

Wszyscy spotykają się na czytaniu sztuki. Niepokoję się interpretacją pani Alwing. Wszystko, co robi, wydaje się bowiem reakcją na zachowanie innych postaci. Czy aktorzy dostarczą mi odpowiednich bodźców?

Reżyser jest młody i zapalony. Nie mówi jednak ani słowa, o czym - jego zdaniem - jest ten dramat, jakie są nadzieje czy obawy postaci. Prosi tylko, żebyśmy sami spisali własne przemyślenia w tej kwestii.

### *Drugi dzień*

Reżyser nie życzy sobie, żebyśmy posługiwali się tekstem. Będziemy za to improwizować. Nie widzę związku improwizacji ze sztuką Ibsena. Ale bawię się całkiem nieźle.

### *Trzeci dzień*

I tym razem nie pracujemy z tekstem, nie wiemy też, co reżyser myśli o dramacie. Za to nastrój wspianiały. Próbę kończymy szampanem.

### *Czwarty dzień*

Zamieniamy się rolami: ja gram pastora Mandersa, on panią Alwing i tak dalej. Ciągle ani śladu Ibsena. Ciekawe, kiedy weźmiemy tekst do ręki. Naśmiawszy się z Johna Neville jako pani Alwing i ze mnie, farsowo „robiącą” pastora, rozprawiamy o kryzysie na Falklandach. Potem przechodzimy do znaków Zodiaku i okazuje się, że większość ludzi związanych z inscenizacją jest spod Byka. A potem wracamy do improwizacji. Tym razem mam udawać, że przychodzę do domu, do męża, który odkrył, że przez dziesięć lat był zdradzany. Oczywiście w „Upiorach” nie ma żadnego żonatego mężczyzny, ale reżyser uważa, że obejrzenie Johna w tej roli może być nad wyraz interesujące. John do tego stopnia uwiarygodnia improwizację, że w którymś momencie zaczyna płakać. Płacz przypomina mi mojego naukowca, w którym byłam kiedyś zakochana. Trochę mnie to martwi, bo się rozpraszam, wracam myślami do swojej prywatnej przeszłości. Nie mam pojęcia, co ta improwizacja może mieć wspólnego z „Upiorami”, bo w żaden sposób nie nawiązuje do sztuki.

### *Piąty dzień*

Po raz pierwszy możemy korzystać z tekstu, ale z pewnym zastrzeżeniem. Musimy się koncentrować tylko na jednym uczuciu. Mnie przypada w udziale nienawiść i dostaję polecenie, by spożytkować moją prywatną, matczyną nienawiść. Jakoś sobie nie przypominam, że bym kiedykolwiek nienawidziła własne dziecko. Pewnie, że penetrowanie siebie bywa przydatne, ale nie wiem, czy akurat nienawiść jest najbardziej odpowiednim uczuciem w Ibsenie. Ale reżyser mówi, żeby się tym w ogóle nie przejmować.

### *Szósty dzień*

Dzisiaj zabieramy się za drugi akt, mimo że nie tknęliśmy ani ruchu, ani sytuacji z pierwszego aktu. Teraz najpewniej też nie będziemy tego robić. Siedzimy przy stole i głośno czytamy scenę po scenie. Nie podoba mi się granie „czystej” nienawiści, więc pytam reżysera, czy pod nienawiścią nie mogłoby się kryć nieco pokory i smutku. „Jeśli chcesz”, słyszę w

odpowiedzi. Ktoś zamawia sobie surową rybę na lunch.

### *Siódmy dzień*

Skupiamy się na scenie między Mandersem i Engstrandem z drugiego aktu. Pani Alwing nie ma tu ani jednej kwestii, a że nadal nie zajmujemy się ruchem, nic tu po mnie. Z niepokojem myślę o tym, jak mało czasu zostanie nam na ustalenie, dlaczego postacie się poruszają i jak to robią. Na tym samym piętrze ma próby musicalu Raquel Welch. Zagląda do nas. Cieszymy się tą nieoczekiwaną przerwą, rozmawiamy i dowcipkujemy aż do lunchu.

Większość czasu spędzamy na improwizacjach, praktycznie nie budujemy żadnej scenicznej rzeczywistości. Mam wrażenie, jakbyśmy byli grupą skautów na zwiadach. Chciałabym znaleźć się w zupełnie innym miejscu. Wracają obrazy z Etiopii, z Tajlandii... Rzeczywistość istnieje gdzie indziej, daleko od pokoju, w którym przesiaduję całymi dniami.

### *Ósmy dzień*

Pastor Manders jest w Kanadzie. Kończy tam jakiś film. A my siedzimy przy stole i czytamy drugi akt, w którym nasz nieobecny kolega jest postacią pierwszoplanową. Ciekawe, czemu nie możemy się na przykład zająć scenami między moim synem i mną. Aktor grający Oswalda jest młody, nigdy dotąd nie występował na dużej scenie.

Rozmawiamy o angielskim tłumaczeniu „Livsglede”. W tekście jest „passion of life”. „Joy of life” wydaje się jednak bliższe oryginałowi, więc nanosimy poprawkę.

Bardzo mało dzisiaj zrobiliśmy. Głównie zajmowaliśmy się poprawianiem tekstu. A kiedy wreszcie zabieramy się do sceny między mną i synem, siedzimy, bo ruch jak nie był, tak nie jest opracowany. Scenę gramy dwukrotnie: najpierw mam syna kochać, a potem nie kochać. Zamiast tej jednej sceny zdecydowanie wolałabym powtórzyć sztukę.

### *Dziewiąty dzień*

Ciągle siedzimy w drugim akcie. Wrócił Manders i nareszcie reżyser przystępuje do opracowywania ruchu. Jest nie przygotowany, więc przestawia nas bez przerwy, żeby zobaczyć, jak to będzie wyglądać. „Idź tu, idź tam”. Zobojętniałam. Jego propozycje ruchu jakoś nie bardzo współgrają z naszymi słowami i z logiką sytuacji. Pytam w końcu, czy nie mogłabym stać bez ruchu, dopóki nie będzie wiadomo, dlaczego pani Alwing idzie. Odpowiedź: - Jestem sławny z moich ruchów. Brak mi słów.

### *Dziesiąty dzień*

Oswald i ja mamy zagrać długą, bardzo bogatą emocjonalnie scenę z drugiego aktu, trzymając się tylko jednej wskazówki: Mój syn mnie nienawidzi. Ja mam niczego nie odczuwać.

I kiedy czas jakiś Oswald mnie nienawidzi, dostaję szału. Z wściekłością wbijam wzrok w reżysera. Przed nami wyrasta coraz wyższa góra. Nie mam pojęcia, jak przez to przebrnę.

### *Jedenasty dzień*

Inspicjent, jego asystent i inni aktorzy przyglądają się różnym improwizacjom oprawy scenicznej. Reżyser jest lekko zmieszany i zabiera mnie z synem do jakiejś wnęki przy sali prób. Siadamy i czytamy swoje kwestie.

## *Dwunasty dzień*

Po raz ostatni notuję cokolwiek na temat prób „Upiorów”.

Gramy Ibsena, który ma tyle warstw do przeanalizowania, a dwunastego dnia (na dwadzieścia jeden dni długich prób bez publiczności) jeszcze nie zajęliśmy się oprawą sceniczną drugiego aktu. Trzeci akt przeczytaliśmy tylko raz. Pierwszego dnia.

Żegnaj, pani Alwing. Żegnajcie, słodkie marzenia.

Jako aktorka rok za rokiem grałam sztuki innych ludzi. Pozwalałam reżyserom, producentom i aktorom ustalać reguły naszych wspólnych przedstawień. Podczas gdy w życiu z powodzeniem udaje mi się osiągnąć coraz większą wolność wyboru, w zawodzie najczęściej skłaniam się do przyjęcia roli osoby podporządkowanej.

A jeśli nawet protestowałam, żądając zmian, nie najlepiej mi to wychodziło, moje koncepcje nie zdobywały posłuchu. Zawsze skwapliwie starałam się dogodzić innym i dlatego zbyt pochopnie akceptowałam cudze argumenty.

Do realizacji własnych zamierzeń trzeba siły, ponieważ niewłaściwy wybór może się skończyć porażką. Trzeba dumy, która nie doznaje szwanku, kiedy ktoś powie, że się mylimy, albo też kiedy mylimy się naprawdę.

Mądrość nakazuje, żebym nieustannie, dopóki się rozwijam, próbowała odnaleźć istotę moich najgłębszych odczuć, aż będę mogła działać w zgodzie z własnymi chęciami.

Kiedy wreszcie dochodzi do premiery „Upiorów”, jakiś krytyk porównuje moją aktorską siłę i jasność ze światłem słońca i poświatą księżyca. Inny krytyk pisze, że dokonał zdumiewającego odkrycia. Jego zdaniem w ogóle nie umiem grać.

W wywiadzie telewizyjnym, w okresie moich gościnnych występów w „Upiorach”, jestem proszona o powiedzenie paru znanych replik ze sztuki, żeby telewidzowie usłyszeli małą próbkę.

Lubię prowadzącego wywiad i chętnie sprawiłabym mu przyjemność, ale tym razem muszę odmówić. Repliki wypowiadam tylko na scenie. Nie jestem marionetką i nie widzę najmniejszego powodu udowadniać, że zawsze i wszędzie potrafię pokazać udawane uczucia. Zupełnie jakby się miało sprzedawać swoją własną duszę i do tego bardzo tanio.

Oglądałam kiedyś pewną sławną aktorkę w programie „60 minutes”. „Płacz”, polecił jej pewien człowiek. I płakała. Grube łzy spływały po policzkach. Nigdy już nie będzie dla mnie wiarygodna.

Pewnego razu Dick Cavett zażyczył sobie: „Powiedz, że mnie kochasz w taki sposób, żebym uwierzył. Przecież jesteś aktorką”. Oczywiście mogłabym powiedzieć Dickowi „kocham cię”, gdybym go naprawdę kochała, ale robić z siebie idiotkę w programie tv tylko po to, by udowodnić moje aktorskie umiejętności? To nie ma nic wspólnego z aktorstwem.

Przypominałabym iluzjonistę, który próbuje coś wyciągnąć z pustego kapelusza. Żeby zadowolić publiczność.

Grając, mam do czynienia z czymś kruchym, czymś, co we mnie samej niewypowiedziane. Wytłumaczenie tego jest prawie niemożliwe. Niemożliwe jest więc celem. Jak tkanina tkająca tkaninę. To rola tworzy rolę.

Japończycy wymyślili szczególną miseczkę na naftę. Bardzo tanią, a jednocześnie pięknie zdobioną. Dekorację stanowiła wierzba, narysowana kilkoma kreskami. Ponieważ miseczki nie miały wielkiej wartości, ozdoby pozwolono wykonać dzieciom. Zdaniem wielkich współczesnych ceramików dorośli nie umieliby tak malować. Nie mają niewinności, niezbe-

dney do namalowania drzewa dwoma pociągnięciami pędzla, ich dusze utraciły czystość.

Nie wiem, co zrobić, żeby odzyskać czystość duszy, ale interpretacja powinna być dziełem nieskażonego umysłu. To istota sprawy.

Nigdy nie pozbędę się tego, co we mnie, wszystkich sprzeczności, lęków, zniszczonych marzeń i nadziei. Ani też moich nie dokonanych wyborów. Wszystko to jest mną.

Mój punkt wyjścia musi być bardzo blisko dziecka, umiającego narysować wierzbę dwiema kreskami.

Jeśli istota aktorstwa rzeczywiście łączy się z odkryciem duszy innego człowieka - czy kiedykolwiek ją odnajdę? Bo czyje serce i duszę można uwięzić w sobie?

To wielka przyjemność, patrzeć na aktora, który jednym tylko ruchem głowy wyjaśnia wszystko.

Poprzez moją osobowość publiczność ma możliwość rozpoznania własnych myśli. Powinna angażować swoje doświadczenia. Tworzyć. Uruchamiać własną wyobraźnię.

Kłopot z prostotą perfekcyjnego gestu lub perfekcyjnego tonu polega na tym, że bynajmniej nie jest to proste. A jednak gdy zabraknie czystości, wszystko się sypie.

Pamiętam moment, w którym poprzedniego dnia rozśmieszyłam publiczność, więc żeby znów usłyszeć śmiech, okropnie się staram i przesadzam, i nikt się już nie śmieje.

Kiedy publiczność zareagowała pozytywnie, straciłam swoją niewinność. A ponieważ niewinność rodzi się ze spontaniczności, trudno ją odtworzyć.

Prawdziwym twórcą jest moja nieświadomość. Ciało ma swoją mądrość. Charlie Parker powiedział kiedyś do saksofonisty: „Nie graj na tym, tylko pozwól, żeby on grał na tobie”.

Muszę więc pozwolić, by instrument, jakim jest moja rola, grał na mnie.

Każdy aktor musi tworzyć własne obrazy. Za materiał służy nam własne życie, życie, które obserwujemy, życie, o którym czytamy, i to, którego słuchamy.

Nigdy jednak nie należy wykorzystywać swoich aktualnych, osobistych stanów, prywatnej złości czy zmartwień, bo to, co moim odczuciom niedostępne, można osiągnąć dzięki wiedzy o nich.

Moim zdaniem istota aktorstwa polega na takim rodzaju otwarciu, które pozwala na całkowite przyjęcie określonej postaci. Jeśli postać ta płacze, to jest to jej płacz, nie mój. Odkryta, obnażona Liv umożliwia mi stanie z boku i przyglądanie się. Zupełnie jakby się miało instrument muzyczny, który bez względu na rodzaj muzyki, wydaje czyste dźwięki. Może się tak zdarzyć w chwili Łaski. Myślę, że pierwszą przyczyną aktorstwa jest uzyskanie tej czystości.

Z wiekiem przybywa mi coraz więcej doświadczeń i z niejakim zdziwieniem dochodzę do wniosku, że to, o co chcę wzbogacić moją grę, staje się prostsze, skromniejsze i czystsze. Pragnęłabym powrócić do czasów, kiedy umiałam namalować wierzbę zaledwie dwoma pociągnięciami pędzla.

Jedną z najtrafniejszych opinii o teatrze wyraził Yeats, mówiąc o dramacie nō:

„Młody człowiek idzie za pewną szacowną starszą damą ulicami japońskiego miasta. Po chwili kobieta odwraca się i pyta:

- Czemu pan za mną chodzi?

- Bo jest pani niezwykle interesująca.

- Nieprawda, jestem już na to za stara.

I wyznał jej wówczas, że chciałby grać stare kobiety w teatrze nō. Jeśli rzeczywiście pragnie być świetnym aktorem tego teatru - odparła starsza dama - nie powinien studiować życia, nie powinien się malować jak ludzie starzy, nie powinien też zmieniać barwy swego głosu. Musi się natomiast nauczyć przekazywania iluzji starej kobiety, czerpiąc wszystko z własnego serca.”

Miliony lat temu wypęzliśmy z wody na ląd. Na suchej ziemi wciąż poszukujemy sensu, podobni pierwotnej sile, za której przyczyną porzuciliśmy morze dla lądu.

Podczas naszego krótkiego pobytu na ziemi dokonujemy wyborów i obstajemy przy nich, mimo że niekiedy bywają niejasne. Uczymy się, że większość spraw nie jest jednoznaczna, że najtrudniejsze wybory bywają mgliste. Nasze dążenia mieszczą w sobie wady i zalety.

Absolutnie dobre i absolutnie złe być może w ogóle nie istnieją.

## SUSZA

Pośrodku wyschniętych obszarów Ameryki Łacińskiej spostrzegam malutki ogródek warzywny. Kruche rośliny wiją się wokół cienkich palików, wbitych w suchą ziemię. Płynie ku mnie zapach polnych kwiatów. Ogródkiem opiekuje się starsza kobieta. Nie jest on jednak jej własnością. Przytrzymując dłonią mały słomkowy kapelusz, pokazuje mi rzędy warzyw. Pod spłowiałymi, niemal bezbarwnymi liśćmi widzę pomidory i fasolę.

- Mogą je jeść tylko najmłodsze dzieci z wioski. Dla wszystkich nie starczy. Dlatego właśnie poproszono mnie o pilnowanie naszego ogródka.

W jej głosie pobrzmiwa duma. Jej, starej kobiecie, mieszkańcy wioski okazali zaufanie. Wypełnia swój obowiązek dniem i nocą. Nad szopą, która stoi u wejścia do ogródka, zwieszają się gałęzie dwóch, na wpół martwych drzewek; pień jednego z nich jest czarny od słońca.

Wyciągając ku mnie rękę, wysuszoną i zwiotczałą jak wszystko, co ją otacza, mówi:

- Wody dostaję bardzo mało, tyle co nic. Prawie wszystko, co mamy, idzie na ogródek. Moje życie to pilnowanie warzyw, których nigdy nie spróbuję.

## POWÓDŹ

Na wybrzeżu Ekwadoru pada ulewny deszcz, tak obfity, że rzeki nie są w stanie go wchłonąć. Wzbierając zalewają biedne okoliczne wioski. Ulice wypełniają się gęstą zieloną wodą i stają się bardzo niebezpiecznym miejscem dziecięcych zabaw. Dzieci, balansując na prymitywnych mostkach między bambusowymi i drewnianymi chatami, niekiedy z ciężarami na plecach, spadają i toną. Niewiele z nich umie pływać.

Nie ma tu elektryczności, ustępów bardzo mało, a żywności prawie żadnej. Do wody pitnej daleko i jak zwykle dla biednych jest ona droższa niż dla ludzi zamożnych.

- Tak dużo nam trzeba - mówi. Jej ręce są w ciągłym ruchu, dotykają sukienki, włosów, złączają się na moment przed otarciem łez z oczu utkwionych w podłogę, gdzie woda sięga już po kostki.

- Tyle nam trzeba, głównie dla dzieci. Muszą się gdzieś wybiegać. W dużym mieście jest trochę zieleńców, ale to daleko stąd. A u nas tylko woda, która się cały czas podnosi.

## TRZĘSIENIE ZIEMI

Ma ponad sześćdziesiątkę. Dzieli namiot z sąsiadami. Jego dom już nie istnieje.

- Jak to trzęsienie ziemi się zaczęło, akurat wychodziłem z pracy. Przeszedłem z pół kwartału i zobaczyłem, że drgają słupy telegraficzne. Zawróciłem z nadzieją, że trzęsienie ustanie i wszystko się uspokoi, ale wtedy zaczęła falować ulica. Próbowałem iść. Upadłem. Wszystko dookoła mnie zaczęło się walić. Zastanawiałem się, czy wyjdę z tego cało, myślałem, że nie przeżyję. Byłem jak sparaliżowany. Jakoś doszedłem do domu i już miałem wchodzić, kiedy zobaczyłem, że wali się dom sąsiada. Pełno było cementowego pyłu. Jak już wszedłem do mieszkania, byłem tak przerażony, że nie chciałem się nigdzie ruszać. W środku dnia przyszedł ktoś po mnie. Okropnie się bałem, wychodząc z domu. Ściany, które mnie chroniły, runęły.

Teraz mam nadzieję, że ktoś mi powie, co mam dalej ze sobą zrobić. Na razie tylko czekałem.

Przed trzęsieniem ziemi Popáyan było miastem bogatym w tradycje, przyciągało turystów. Tutaj rodzili się prezydenci i poeci, Kolumbijczycy chlubili się jego historią, pomnikami i kościołami z czasów kolonialnych.

Teraz na ruinach ulic siedzą ludzie i patrzą przed siebie. Wszędzie panuje nastrój katastrofy.

Trzęsienie ziemi otworzyło ponad trzy tysiące grobów i wyrzuciło na powierzchnię ciała zmarłych. Krążyła pogłoska, że jakaś kobieta postradała zmysły, kiedy nieboszczyk gonił za nią po wzgórzu. Pewien reporter donosił: „Nie muszę już oglądać filmów Hitchcocka - są tutaj”.

Z trzęsienia ziemi wraz z pogrzebanymi ciałami wyszła na jaw dobrze skrywana nędza. Jakby ten kataklizm wytrząsnął biedę.

Mały chłopiec rysuje mi dom. Wokół domu ogródek, piękne kwiaty. Mówi, że to jego dom, a tymczasem siedzimy w błocie wśród garnków jego matki i kilku patyków, które zebrała na opał.

Prawda o ich życiu jest taka, że nie mają pieniędzy ani żadnych możliwości zdobycia pracy. Nie mogą też dostać pożyczki, bo przypuszczalnie nigdy by jej nie zwrócili. Jak tysiące innych żyją, na skrawku zajętej przez siebie, prywatnej ziemi. Nie ma tu wodociągów ani ścieków, nikt nie wywozi śmieci. Życie większości z nich, na silnym wietrze, w nieustającym deszczu, bez dachu nad głową, musi być nie do wytrzymania.

A dom narysowany przez chłopca stoi wśród sosen, w oknach wiszą zasłonki.

Wiele spotkanych osób twierdzi, że trzęsienie ziemi jest skutkiem przekleństwa rzuczonego przez pewnego sławnego kolumbijskiego generała: „Kiedy ze starego kamiennego kościoła runie krzyż, chcę, by miasto zostało zniszczone. A będzie to w Wielki Czwartek”.

Przepowiednia wypełniła się w Wielki Czwartek roku 1983. Teraz, parę dni później, widzę ludzi idących do krzyża. Padają na kolana i błagają o przebaczenie.

Stary człowiek, który stracił swój dom, opowiada, że niegdyś Popáyan było cichym, spokojnym miastem.

- Nasze miasto czciło pamięć konsekracji, czciło Jezusa Chrystusa i wielbiło spokój. Było tak piękne z tymi wszystkimi swoimi strojami, ozdobami i kolorami.

Siedzimy w namiocie, którego cienkie ściany nie chronią przed deszczem. Staruszek drży.

- Wielki Tydzień w Popáyan jest najważniejszy w roku, bo wtedy jest tu wielu turystów, odbywają się koncerty. Słynne orkiestry i chóry zjeżdżały do Popáyan, żeby czcić pa-

mięć śmierci Chrystusa. Ale za bardzo się uzależniliśmy od turystów, staliśmy się bezbożnikami i odszczepieńcami, bo zamiast pościć, ucztowaliśmy. W Wielkim Tygodniu w Popáyan piło się dużo więcej niż kiedykolwiek. Bóg postanowił uczynić z nami tak, jak z Sodomą i Gomorą.

Przez trzy dni i noce padał rześisty deszcz, bezdomni i biedni siedzą skuleni w gruzach lub pod prowizorycznymi wiatami.

*Manilę, tam, gdzie przyjeżdża większość turystów, okalają mury. A za murami jest nędza.*

## **SCHRONIENIE**

Jej dom to rozłożona na chodniku tektura o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Na jej kolanach leży dziecko, ona sama siedzi z wyprostowanymi nogami. Obraz samotności, do której nie dociera miejski gwar, spieszący ludzki tłum, ruch uliczny. W jej życiu nie istnieją parki, rzeki, mosty czy okazałe wille.

Dziecko śpi, ona też przymknęła oczy, chroniąc to, co w jej życiu najważniejsze, swoim ciepłem, pochylonym ciałem.

## **WSPÓŁCZUCIE**

Kiedy patrzy na kwatery biednych, przypomina zranione zwierzę. Jego pociągła, szczupła twarz lśni od potu. Ten młody smutny lekarz w zniszczonych dżinsach przychodzi tu codziennie.

- Za mało mam lekarstw i witamin. Nie starczy dla wszystkich. Nie mam nawet surowicy.

Podchodzi do niego mała dziewczynka. Podnosi ją i oboje wybuchają śmiechem. Ale kiedy tylko mała wyslizguje się z jego objęć i odbiega, jego twarz odzyskuje swój poważny wyraz.

- Przychodzę tu, bo są bardzo biedni, chociaż praktycznie nie jestem w stanie im pomóc.

Wokół nas stoją szopy o czarnoszarych, blaszanych dachach. Pokazuje na nieczystości, płynące brunatnymi strumykami przy ścieżce, którą idziemy.

- Żeby przeżyć w tym zatrutym środowisku, trzeba silnych, zdrowych dzieci.

Dziwię się, czemu nie chce zostać na prywatnej praktyce w bogatej części Manili.

- Przychodzę tu, by pomóc Bogu w dokonaniu cudu - odpowiada.

## **MLEKO**

W jedynym sklepie państwowym połowę półek wypełnia mleko zastępcze dla niemowląt. Niesłychanie się je tutaj reklamuje: w radiu, telewizji, prasie. Reklamuje je także niemało lekarzy. Za murami Manili nie widzę zbyt wielu matek karmiących dzieci piersią. Producenci, którzy zalecają biednym stosowanie mleka zastępczego, przyczyniają się tym samym

do masowych zgonów. Proszek można bowiem wymieszać tylko z zanieczyszczoną wodą, a opał do jej zagotowania jest właściwie nie do zdobycia. Jedno opakowanie tego mleka kosztuje około pięćdziesięciu pesos, czyli znacznie więcej niż wynosi dzienny zarobek większości rodzin.

Mleko matki natomiast jest odżywcze, bogate w substancje immunologiczne i nic nie kosztuje.

Wśród matek ze słabymi, niedożywionymi dziećmi dostrzegam kobietę kołyszącą w ramionach pulchnego chłopczyka o różowych policzkach. Śpi tak smacznie. I jeszcze przed zadaniem jej pytania, znam odpowiedź.

- Karmisz dziecko piersią?

- Tak.

Z tym trzymiesięcznym Rexusem, dorodniejszym od większości dwulatków, mama przysłała na plac, gdzie UNICEF zorganizował spotkanie dla kobiet z okolicy. Słodko śpiący chłopczyk jest żywą ilustracją tego, że matki które straciły swoje dzieci, zostały oszukane przez niemoralną kampanię reklamową.

Tłuściutki Rexus odniósł zwycięstwo nad ludźmi uzależniającymi matki od mleka w proszku zmieszanego z brudną wodą.

Trzymiesięczny chłopczyk jest bohaterem jednej z tych prawdziwie radosnych historii w trzecim świecie, mimo że nigdy nie trafi na pierwsze strony gazet.

## MŁODOŚĆ

Tańczy na drodze. Kroki dokładnie opracowane: jedna noga w górę, podskok, noga w dół, druga noga w górę. Jej dusza też tańczy, swobodniej niż jej bosa stopy, tańczy nawet wówczas, kiedy kobieta przez chwilę odpoczywa. Mówi, że ma sto piętnaście lat.

- Sto piętnaście?

- Tak. Moje lata można poznać tylko po kiepskim kolanie i biodrach.

Co za oszustka! Nic nie wskazuje na to, by coś jej dolegało. Chociaż teraz, kiedy stoi spokojnie, rzeczywiście widzę, jak zniszczone ma ciało. Znow tańczy.

- Długo żyjesz! - krzyczę za nią.

- Tak, bo bardzo gorąco wierzę w Boga. Kiedyś zachorowałam na raka i powiedzieli mi, że zostało mi tylko piętnaście lat. Ale to było dawno. Ostatnio zaczęłam myśleć o ożenku. Mój mąż zmarł za Japończyków.

I wybuchła piskliwym śmiechem. Jest lekko zdyszana, trochę trudniej jej teraz ze mną rozmawiać i jednocześnie tańczyć.

- Rozglądam się za odpowiednim mężczyzną.

- A jak będzie wyglądał?

- Powinien być bardzo stary. W starcach jest życie i mądrość. Poszukam i dla ciebie.

Przez chwilę pozwala odpocząć nogom i szepce mi poufnie:

- Okłamałam cię. Tak naprawdę mam dopiero sto sześć lat.

## NAUKA

Jadę do jednego z uboższych rejonów, leżącego na podmiejskich wzgórzach. Zgodnie z tutejszym powiedzeniem: „Najbiedniejsi mają najlepszy widok w całej Kolumbii”.

Na mijanych na drodze przewodach telefonicznych widzę ptasie gniazdko, ciasno sku-



pione obok siebie. Jedno przy drugim wiszą czarne grona, przypominające babciny kłębek włóczki. Ciekawe, czy ptaki słuchają naszych rozmów. Czy grzeją je nasze głosy, płynące przewodami?

W szkole, do której mnie przywieziono, poznaję wysokiego, przystojnego mężczyznę o pięknym, promiennym uśmiechu na miłej twarzy.

Dzieci w jego szkole, czyli w dwóch ścianach bez dachu, uczą się techniki i rolnictwa, co wykorzystają później w swoich wioskach. Uczą się ogrodnictwa i rozpoznawania ziół leczniczych. Przy szkole są ule, o które uczniowie samodzielnie dbają.

Rodzice, zadowoleni z możliwości kształcenia swoich dzieci, wybudowali drogę do szkoły, by ułatwić dostanie się do niej daleko mieszkającym.

Poważny problem stanowiły do niedawna choroby spowodowane pić zanieczyszczonej wody. Nauczyciel zaczął filtrować szkolną wodę i uszlachetniać ją środkami chemicznymi. Nauczył swoich uczniów, jak to się robi, a ci z kolei przekazali tę wiedzę dalej, swoim rodzicom.

Obecnie odwiedzają tę szkołę nauczyciele z odległych wiosek i zapoznają się z jej programem.

- Traktuję moją pracę jako wyraz tego, co mogę w życiu dokonać.

Opowiada, że był prawnikiem, lecz zdecydował się zostać mnichem. Ale kiedy wybierał się do klasztoru, mnóstwo osób zaczęło go błagać o pomoc, ponieważ tylko on zdobył jakieś wykształcenie. Więc został.

- Pewnego dnia, dzięki naszemu ogródkowi, będziemy mieć szkolną restaurację.

Przechodzimy dalej, nad staw rybny, z którego jest bardzo dumny.

To sztuczny staw, ma półtora metra głębokości, dziesięć metrów długości i pięć szerokości. Ryby karmi się sałatą. Widzę, jak zielone liście poruszają się, aż w końcu zostają z nich tylko nerwy.

Okoliczni mieszkańcy jedzą mięso jedynie od święta, smaku ryby natomiast w ogóle nie znają. Ale teraz to się zmienia.

Na jego twarzy znów pojawia się promienny uśmiech.

- Tak, chciałem zostać mnichem, ale niekiedy jest się powołanym do innej służby.

## DZIECIŃSTWO

Jeden wieczór w Kolumbii spędzam w towarzystwie kilkorga dzieci ulicznych, niewielkiej garstki spośród wielu tysięcy. Są drobne i ruchliwe, pełne pomysłów i zapału w obmyślaniu planu na wspólne spędzenie dnia. A może by tak do restauracji? W małym, nędznym lokalu zajadamy kurczaka z prażynkami: za każdym razem, zanim ich małe palce sięgną po jakiś kasek, zawsze najpierw częstują mnie.

Małe, brudne dłonie opierają się o moje kolana, ręce obejmują mnie w pasie. Sześcioletni chłopczyk przytula się do mojego ramienia i przycisnąwszy swoje chude ciało, udaje, że śpi. Śmiejemy się, całujemy, przytulamy. To nasz jedyny język. Ale inny nie jest wcale potrzebny.

Kiedy są już zmęczone, pytają, czy nie mogłabym pójść z nimi do „domu”. Szukamy kawałka tektury, którą przedtem dobrze ukryły. Ich miejsce przed sklepem jubilera jest wolne. Za koc służy im worek, który przez cały dzień nosiły ze sobą. Teraz pokazują mi na migi, żeby je przykryć.

I wtedy te małe dzieci wyciągają do mnie ręce; twardzi chłopcy uliczni zmieniają się we wrażliwe, opuszczone i bezbronne dzieci. Tęsknią za całusem na dobranoc.

Przez chwilę leżę przy nich. Pozwalają się objąć - mocno, mocno. Czuję ich ciepłe oddechy, głaszczę ich czoła, trzymam ich ręce, a one wtulają się we mnie, w moje ciało, ciało matki, której nie mają.

I w tym momencie nie tęsknię już za swoim dzieciństwem. Bezpieczna ich ufnością, nagle pojmuję, czego właściwie szukam i po co jeżdżę po świecie.

Ja to ja.

Ostrożnie otwieram drzwi do pokoju Linn. Śpi z głową zwróconą do okna. Zapomniała zaciągnąć zasłanki i nad jej twarzą słońce tworzy wzory ze światła i cienia. Całuję ją. Spod kołdry wyglądają dwie małe główki: jedna białowłosa z dużymi zdziwionymi oczami, druga - arystokratycznie złocista o zielonych, aroganckich oczkach. To jej koty.

Nie wolno im leżeć w jej łóżku, ale mimo to każdego wieczoru cierpliwie czekają, aż zaśnie, po czym wślizgują się pod jej dużą norweską kołdrę puchową.

Ponieważ to ja zwykłam je żywić, opuszczają teraz swoje wspaniałe legowisko i mruczą. Jeden się uśmiecha, a obydwaj wpatrują się we mnie z podziwem i pełnym oddaniem.

Jestem czuła na pochlebstwa, więc zapraszam je na norweskie sardynki w sosie pomidorowym (mój przysmak, który mama od czasu do czasu mi przysyła).

Wychodząc z pokoju, widzę, że koty w ogóle już nie zwracają na mnie uwagi. Dwa ogony poruszają się wolno i leniwie, tyłem do mnie, różowe języczki wylizują miskę. Spełniłam już swój obowiązek.

Jest ciepły majowy poranek. Niedziela. Czas narodzin. Natura znów budzi się do życia, zalewając ziemię powodzią zieleni.

Za oknem śpiewają ptaki: drozd i sikorka modra, i pliszka, i jaskółka, i kukułka. A z pewnego oddalenia dobiega szmer spływającego z gór strumyka topniejącego śniegu.

Wokół piękne jasne barwy wiosny. Wkrótce, nieco poniżej naszego domku, pojawi się stara panna Gran i zacznie kopać w ogródku. Będzie w niebieskiej sukience i niebieskim kapeluszu, przydając wiosnie kolorów. Ubarwi ją także swoją radością przeżywania wszystkiego jeszcze raz.

Siedzimy z Ablem na skale i patrzymy ponad fiordy. Ku morzu płynie duży statek.

Pamiętam morze i innego mężczyznę, który na wyspie, gdzie mieszkaliśmy, powiedział mi kiedyś: „Ty i ja jesteście ze sobą boleśnie złączeni”.

Abel zdaje się chyba czytać w moich myślach, bo pyta nagle: „Czy mam ci opowiedzieć o twojej wyspie?”

Dookoła czuję wiosnę, czuję przemienność przyptywów i odpływów. Zamykam oczy, prosząc, by opisał mi wyspę tak, jakbym mu nigdy o niej nie opowiadała.

Mówi wolno: „Widzę piękną księżniczkę w niewoli. Widzę jej samotność i strach, jej walkę z panem i władcą wyspy. Widzę wyspę jako miejsce odosobnienia, służące miłosnemu eksperymentowi”.

Kręcę głową:

- Dziecko z ciebie, Abel. Nie rozumiesz.

Zdaje się, że wcale go to nie obeszło.

- Lubię bajki. Mówiłaś, że po pobycie na wyspie nic już nie było w stanie cię zranić. Pomyślałem, że musiało ci się tam przytrafić coś strasznego, jeśli wyzbyłaś się drażliwości. Pomyślałem, że coś w tobie na dobre umarło! Dopiero później zrozumiałem, co chciałaś mi powiedzieć.

- Kochany, tobie się tylko tak wydaje, że rozumiesz.

- Prosiłaś, żebym nigdy nie zapomniał o twojej ranie - mruczy mi do ucha. - Twojej olbrzymiej, nieuleczalnej ranie.

Prosiłam tylko, żebyś wziął pod uwagę to, że kiedy ty byłeś zajęty swoim pisaniem, ja żyłam - myślę, patrząc na niego.

Najukochańszy Ablu. Nie jestem księżniczką z bajki. Jestem kobietą, która w pewnym momencie swojego życia przybyła na wyspę.

Chciałbyś pewnie usłyszeć opowieść o nieszczęśliwej istocie, ciągle jeszcze pięknej, która straciwszy rozum, wychodzi wieczorami na brzeg, stoi tam bez ruchu i wpatruje się w morze. Aby wszystko było ostateczne.

Milczymy. Pewnego wiosennego popołudnia, nim ktokolwiek zdążył się wprowadzić do sąsiednich domków, siedzimy wysoko na skale, spleceni ramionami.

Abel ponownie zdaje się czytać w moich myślach i mówi:

- Naprawdę bym tego chciał.

- Czego? - pytam.

- Żebyś mnie zaskoczyła. Żebyś przyszła do mnie zrozpaczona, jak inne. Myśl, że nie mogę płakać nad tobą, doprowadza mnie do obłędu.

Nagle słońce przestaje ogrzewać. Lato jest daleko, daleko stąd.

- Powinnam być w rozpacz, bo cię Kocham?

- Bo kochałaś wiele razy - odpowiada.

## **CZ. 4. ROZSTANIE**

*Pożegnanie z rolą. Być tak blisko osoby, której już nigdy nie spotkam. Jest postacią po raz ostatni. Wszystkim, co dla mnie znaczyła. Aż nadszedł czas rozstania.*

*Te pożegnalne łzy nie są moje. To postać płacze wiedząc, że nigdy już nie zaistnieje.*

Zawsze mieszkałam blisko wody.

Woda prowadziła mnie do różnych domów. Morza otwierały nowe rozdziały mojego życia.

Woda przynosiła mi ukojenie, kiedy siedząc nad nią wpatrywałam się w jej powierzchnię, która - choć zmienna - kryje coś, co nieruchome, wieczną głębinę.

Czuję w sobie zarówno jej przyływy i odpływy, jak i to, co niezmienne.

Kobieta wypełniona jest morzem, z którego powstaje mężczyzna, by je opuścić w pierwszym dniu swoich narodzin i oddalić się aż po kres życia.

A kobieta pozostaje u swego początku. Jest sama sobie morzem, na którym leży jej wyspa, wyspa mężczyzny.

Odległość między mężczyzną i kobietą zależna jest w pewnym stopniu od ich początku.

*Obecnie coraz częściej wydaje mi się, że przeszkadzam Ablowi, że niweczę jego spokój i możliwości twórcze.*

*I chciałabym to zakończyć. I nie potrafię. Zawsze gdy ktoś mnie opuszcza, wpadam w panikę i rozpaczam, zupełnie jakby to śmierć nas rozdzieliła.*

*Ale żyjemy jak obcy sobie ludzie, niszczyliśmy wzajemnie, unieważniając nasze słowa i działania.*

*Czasem myślę, że z takim uporem tkwię w tym destruktywnym związku, ponieważ wiem już z góry, że kiedy któregoś dnia Abła zabraknie, sama będę się musiała rozprawić ze smutkiem.*

Siedzi przy oknie w sypialni. Nie odwraca się, kiedy wchodzi. Domyślam się, że pił. Ma mokre włosy, pewnie się kąpał, może niedawno wstał, mimo że już późne popołudnie. Mówiąc zwraca się ku drapaczom chmur i wszystkiemu, co za szybą: chłodnemu szaremu powietrzu, hałasowi i szaleństwu, tak typowym dla Nowego Jorku. Wszystkiemu, przed czym okna mojej sypialni nie mogą go obronić. Mam ochotę dotknąć jego karku, który wydaje się tak bezbronny. Nie robię tego jednak, tylko kładę się na łóżku i słucham.

- Zazwyczaj moje podróże bardzo dużo mi dawały, ale pewnego dnia stało się inaczej, spostrzegłem, że coś utraciłem. Dlatego potrzebny mi spokój i jedno jedyne miejsce na ziemi, gdzie czułbym się u siebie. A tutaj, w tym niebieskim pokoju, tak się nie czuję. Nie mogę tu pracować, a nie zamierzam włączyć się z kijem żebraczym tylko dlatego, że mieszkam w Nowym Jorku. Boję się, że skamienieję. Wiem, granice są otwarte, ale ja już nie mam ochoty ich przekraczać.

Odwraca ku mnie swoją piękną twarz, ale teraz praktycznie dla niego nie istnieje. Wypił i to, co mówi, układa się w prywatny, intymny monolog. Nie oczekuje ode mnie jakiegokolwiek reakcji czy odpowiedzi. Nie jestem mu nawet potrzebna jako słuchacz. Moja obecność znaczy dla niego to samo, co widok z okna sypialni. Musi gdzieś skierować swój gniew i gorz, wszystko, co go - jego zdaniem - dusi i przytłacza. I kiedy tak zalewa mnie czarnym potokiem żalu, wciągając w tę swoją rozpacz i nędzę, zaczynam się lękać, że utonę razem z nim. Patrzy przeze mnie i podnosząc kieliszek do ust, szepce:

- Nie umiem robić czegoś, czego nigdy przedtem nie robiłem, czego życie jeszcze jakoś tam nie potwierdziło. Dlatego nie potrafię zaakceptować nowych przekonań i nowych doświadczeń. Mówiąc „użyj mnie”, miałem na myśli coś bardzo prostego. Chciałem być sobą z tobą. Być. Bo taki jest właśnie sens życia: być i przeminąć. Żaden inny sens dla mnie nie istnieje.

Pije. Chowa twarz w dłoniach. Kocham go. Nie ruszam się jednak, leżę w milczeniu.

- Wierzę w miłość - szepce. - Marzę o niej. Ale musi być wszechogarniająca. Musi mnie uskrzydlać. Jeśli taka nie jest, przypomina zwyczajny banał. Kocham cię, ale nie dałaś mi odczuć przyjemności lotu.

Opuszcza dłonie. Gdybym odwróciła głowę, zobaczyłabym jego twarz. Może udałoby mi się jakoś do niego dotrzeć, gdyby patrząc mi w oczy, dostrzegł w nich zrozumienie.

- Ale ty nie pojęłaś, czemu chcę być z tobą, nie wzięłaś udziału w tej przygodzie, naszej przygodzie, i tym mnie wykastrowałaś.

Płacę. Wychodzę z pokoju. W living-roomie wyciągam jakieś książki i kartkuję jedną po drugiej. Po chwili poddaję się i opuszczam głowę.

Stoi w drzwiach i patrzy na swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy.

- Raz na zawsze chciałbym się rozliczyć ze swoją przeszłością, ale nic z tego nie wyszło. Ciągłe żyję przeszłością, trwa we mnie nie zmieniona.

I wychodzi z domu. Słyszę trzaśnięcie drzwi i już wiem, że wróci bardzo późno, bardzo pijany. Próbuje jeszcze dojrzeć jego sylwetkę za oknem.

Noc ma się ku końcowi. Siedzimy obok siebie. Obejmuję go, delikatnie głaszczę po włosach, niewinnymi pieszczotami dając do zrozumienia, że słucham. Nie reaguje, zatopiony w swoim pełnym smutku świecie. Wiem, że musimy się rozstać.

Nagle mam wrażenie, jakbym siedziała gdzieś z boku, przyglądała się nam obojgu i słuchała dialogu. Jak na filmie.

ONA: Nie mam czasu ani na to, żeby być twoją matką czy twoim dzieckiem, ani na to, żebyś ty zdecydował o tym, jaki będę miała dzień, zły czy dobry. Nie mam już czasu na to, żebyś mnie ograniczał.

ON: Boisz się trwonienia czasu?

ONA: Jest we mnie młoda dziewczyna, która nie chce umierać i mówi mi, że istnieje

jeszcze mnóstwo rzeczy wartych poznania. I mam zamiar wszystko to zbadać. Nie myślę szukać swoich korzeni poza mną samą. A poza tym chcę kochać.

Z tobą nie pragnę miłości, bo to uzależnienie.

Chcę zerwać z moimi dotychczasowymi wzorcami, a kiedy się to stanie, zaakceptuję ból i samotność jako coś nieuniknionego, co przynależy mojemu życiu.

ON: Mówisz, że mam odejść?

ONA: Mówię, że właściwie nigdy cię tu nie było. Nam się tylko zdawało, że się kochamy, bo tak naprawdę kochaliśmy nasze marzenia z przeszłości i nasze oczekiwania na przyszłość.

ON: Ale w tej chwili - tu i teraz - wiem, że cię kocham.

ONA: W tej chwili - tu i teraz - wiem, że i ja ciebie kocham. Bo słońce wlewa się oknem, bo ładny jest kolor twojej koszuli, bo masz piękny tors i silne ramiona. W tej chwili kocham ciebie i dlatego, że twoje oczy są nieszczęśliwe, i dlatego, że pamiętam twoje usta i ciało. Kocham cię za wrażliwą duszę i za inteligencję. I dlatego, że czule były twoje pieszczoty i że dzięki tobie się śmiałam. Ale to nie wystarczy.

ON: Mówisz jak dziecko i pragnąłbym ciebie zrozumieć. Nie chciałbym odchodzić, bo nie możesz zostać sama. Źle będzie z tobą, będziesz wyobcowana. Nie jesteś już młoda, a ci, którym się teraz podobasz, mogą się mylić. Chcę się z tobą ożenić i pomagać ci, kiedy będziesz tej pomocy potrzebować.

Jesteś przybita i niezadowolona. I rozczarowana. Potrzebujesz mężczyzny, który będzie cię chronił. Jestem ci potrzebny. Nie odprawiaj mnie. Może jestem twoją ostatnią szansą. Może będziesz jeszcze mogła mieć dzieci, nie musiałybyś już jeździć po całym świecie, żeby zaspokoić swój głód macierzyński.

ONA: Opuszczam cię, bo nie wiesz, kim jestem. Opuszczam cię, bo nie chcę już dłużej udawać kogoś innego. Opuszczam cię, bo zamierzam być sobą i żyć własnym życiem. Opuszczam cię, bo tylko ja odpowiadam za to, co czuję, wiem i rozumiem.

Będzie mi ciebie brakowało. Będzie mi brakowało ciepła twoich objęć i świadomości, że istnieje ktoś, kto na mnie czeka, kiedy wracam do domu, i będzie mi ciebie brakowało z wielu innych powodów. A to źle. Pewnie będę płakać i prosić, żebyś wrócił. Ale nie wracaj. Nie będziesz już moją bezpieczną przystanią, moim powodem do ambicji i dumy.

ON: Kiedyś powiedziałaś „nic mnie już nie może zranić”. Czy wiesz, że będzie ci teraz bardzo ciężko?

ONA: Tak, ale to żaden powód, dla którego mielibyśmy ciągnąć nasz związek. Lęk jest więzieniem, z którego miłość nigdy się nie wydostanie.

(ON wstaje z łóżka, siada na krześle i długo się JEJ przygląda.)

ON: Uciekasz od przeszłości.

ONA: Nie, ja tęsknię za swoją przeszłością, a jednocześnie chcę się bardziej otworzyć na wszystko, co nowe, chcę poznawać coraz więcej i więcej. Nie myślę żyć z tym samym repertuarem aż do śmierci.

Chcę przewartościować moją pracę. Publiczność to nie wszystko. Chcę, żeby to, co robię, miało jakieś znaczenie. Chcę zasłużyć na dalsze życie.

ON: Zanim ciebie spotkałem, byłem chory. Nie chciałem mieć nic wspólnego z ludźmi. Żadnych związków. Nie chciałem nawet słuchać samego siebie. W wieku czterdziestu lat byłem gotów czekać na śmierć wyłącznie w towarzystwie książek i muzyki. Ty tego nie zmieniłaś. Ale rozczarowanie, jakie przeżyłem, i gniew, który często we mnie wzbudzałaś tą swoją nieustanną bieganią w poszukiwaniu wielkich życiowych misji, doprowadziły do tego, że zacząłem się przyglądać swojej chorobie i zastanawiać się nad śmiercią. Ale nie umarłem. Doznałem łaski. Nie przekreślał tego, co z tobą przeżyłem. Zmienił się tylko mój pogląd na życie. Ale właśnie dlatego, że byłem tak bliski upadku, nigdy nie będę tym, kim ty chciałabyś mnie widzieć.

Jeśli mnie opuścisz, będę żył dalej. Czasem o tobie pomyślę, ale nie wiem, czy będę za tobą tęsknił.

ONA: To ja będę tą, która tęskni.

ON: Kocham cię.

ONA: Nie bardzo wiem, co się właściwie robi, kiedy się kocha, ale na swój niedoskonały sposób też cię kocham.

ON: Obejmij mnie.

(ONA podchodzi do niego. Obejmuje Nieruchomieją. Po dłuższej chwili ON odsuwa się od NIEJ. Jakiś czas się jej przygląda i odchodzi. ONA patrzy na zamykające się za nim drzwi.)

(Cięcie)

Jest w drodze ku samotności. Przestrzeń jest tym, czego najbardziej potrzebuje. Nie budzą się w niej do życia ani słowa, ani muzyka, mimo że ona potrafi żyć dzięki niektórym tekstom i niektórym melodiom.

Jest ni mniej, ni więcej jak tylko namiętnością malującą się na jej twarzy lub namiętności brakiem. Jest wówczas, kiedy słucha i kiedy nie słucha. Jest zbiorem zdań, które za jej pośrednictwem uzyskują życie lub stają się niczym.

Jest w drodze ku samotności, czuje bliskość, ale nie jest to bliskość mężczyzny, który leży u jej boku. To nie jego ręka obejmuje ją we śnie. To nie on.

Spotkali się i szli razem, i czegoś siebie nawzajem nauczyli. Ale kiedy przypomniano jej o sile samotności, kiedy zrozumiała, że tracąc samotność, utraciła coś jeszcze, zaczęła się wycofywać. Spała z nim, lecz w ciszy ich pokoju, w świetle lampy, w jego objęciach, była sama.

Miała nadzieję, że wejdzie do zaczarowanego ogrodu, bezpiecznej przystani, bez konieczności oglądania się wstecz, ale koniec końców znów znalazła się na drodze ku samotności.

Ziemia jest jej posłaniem, zamyka oczy, jest bezpieczna, kiedy tak leży pod kocami z głową na poduszce.

Zapadłszy w półsen, zapomina o jego ramieniu oplatającym jej ciało. Powieki osłaniają jej ciągle obecne niebieskie spojrzenie.

Początkowo ruch jest powolny, a że jej oczy są zamknięte, nie wie na pewno, czy wiatr, który czuje na policzkach, istnieje tylko w jej wyobraźni. Niemal całą głowę ma pod kocem i nagle w ciemnościach staje się: niknie czerń, pojawiają się migotliwe srebrne smugi i złote perły, i połyskliwa czerwień.

Piękno jej podróży - srebro, złoto, iskrzący kryształ. Tęcza, czułe szepty, gorące pocałunki. Perły, które chwyta ciepłą dłonią, ożywają, obiecują wielkie bogactwa, jeśli dojdzie do celu, a celem jest słońce, a celem jest samotność.

Teraz czuje, że się unosi, lot, frunie nad morzem, niebieskim oceanem, czarnym oceanem, lustrem zieleni i szarości. Nie potrafi nazwać koloru wody.

Wiatr zwiewa koc z jej łóżka, jej wyciągnięte ramiona są żaglem. Żaglem, nie skrzydłami. I białe ramiona jej żagla kołyszą i wzlatują, i kiedy tak unosi się nad tym wielobarwnym morzem o białej pianie, wkrada się w jej ciało samotność.

Siła samotności. Sama. Jest sama. Sam na sam z morzem i wiatrami.

I w tej potędze samotności niepotrzebne jej schronienie w ramionach tego, który obejmuje jej ciało, którego ostry profil odcina się na poduszce obok niej. I unosi się nad ziemią, zatacza kręgi, nie czując już siły przyciągania, wysoko, wysoko, skąd nie widać już ani trawy, ani drzew, ani wszystkiego, co dobrze zna.

Jest dźwiękiem, jest samym wiatrem i kiedy wreszcie przebija tafłę morza i opada coraz niżej i niżej i mija wszystko, co znane, ale dla niej już nie znane, jest samą Głębią.

## CZ. 5. POWRACAJĄCA FALA

*Nie będę szczęśliwa, uznawszy, że szczęście to wieczne poszukiwanie bez skutku, bo wówczas nigdy szukać nie przestanę.*

Pragnę doświadczyć siebie takiej, jaką byłam w dzieciństwie, doświadczyć tamtych dźwięków, zapachów, twarzy mojej młodości. Szukam w sobie dziecka. Utraconej niewinności. Czystości i wolności. Prawdy. Ale okazuje się, że to, co było, minęło bezpowrotnie.

Może odnalezienie siebie z przeszłości jest nierealne, ale tak czy inaczej każdy z nas odbywa taką podróż, kiedy zaczyna odczuwać własną nieśmiertelność.

Dziecko we mnie wie coś, czego dorośli nigdy wiedzieć nie będą. Odkąd przyglądam się swojemu dzieciństwu, zastanawiam się, czy to na pewno moje, bo kiedy patrzę na siebie sprzed lat, dochodzę do wniosku, że siebie gdzieś zgubiłam.

Im więcej poznawałam, tym mniej rozumiałam, im częściej sięgałam pamięcią wstecz, tym bardziej czułam się zagubiona.

Szukając siebie, od siebie się oddalałam.

Usiłowałam przymusić do mówienia duchy.

Tydzień temu miałam sen:

W New Delhi mała dziewczynka pełznie ulicą. Jest ułomna i okropnie zmęczona. Ma trudności z dostaniem się na chodnik. Obok pędzą samochody. I wtedy ty, Ablu, podchodzisz do niej, bierzesz na ręce i niesiesz ostrożnie, długo, bardzo długo, czekasz na jej znak, kiedy masz się zatrzymać, aż w końcu pojmujesz, że ona nie ma żadnego konkretnego celu, że chciała tylko przejść przez ulicę. Śmieje się, leżąc w twoich ramionach jak królowa, wyraźnie zachwycona spacerem. W pewnym momencie wskazuje na duży plac, umajony pyszną zieloną trawą, kwiatami i drzewami. Kiedy sadzasz ją na ziemi, w jej oczach lśnią iskielki miłości. Gejzer miłości, jakbyś znajdując to bezpieczne miejsce, otworzył jej bramy raj. Wpatrzona w ciebie dziecięca twarzyczka promienieje. Dziewczynka odpoczywa pod drzewami, równie sękatymi jak ona i pada na nią wieczny cień.

Jest bezdomna i wzgardzona, ale kiedy tak patrzy na liście i gałązki, i błękitne niebo, przez moment zdaje się przepelniona szczęściem.

Nie chodzi mi o zmienianie świata, nie wiem nawet, co mogłoby go zmienić. Wiem tylko tyle, że my wszyscy zostawiamy po sobie jakiś ślad bez względu na kierunki naszych podróży.

Linn i ja spacerujemy brzegiem morza. Już wkrótce fale zmienią swój bieg.

Wiatr zaróżowił jej policzki.

Czy na pewno wiatr?

Milczy, tylko dyskretny uśmiech igra na jej twarzy.

Nigdy go przedtem u niej nie widziałam.

Rośniesz, oddalając się ode mnie, a ja uczę się rozluźniać chwyt.

Pozwól, że opowiem ci pewną historię:

Dziewięćdziesięcioletni mężczyzna postanowił posadzić drzewko. Przechodzący obok trzech chłopcy zaczęli biegać wokół niego i szydzić. I mówili między sobą: „Można by jeszcze zrozumieć, że dla zabicia czasu chce się czymś zająć, ale żeby w tym wieku sadzić drzewo!”

Starzec udał, że ich nie słyszy. W milczeniu wykopał dołek i posadził swoje drzewko. Niedługo potem zmarł.

A kiedy minęło trzydzieści lat i chłopcy byli już mężczyznami w średnim wieku, prze-

chodząc obok drzewa, rozkoszowali się jego dorodnymi owocami i jedli je, nie poznając.

- Jak długo będziesz mi opowiadać historie, mamó?
- Zawsze, jeśli można.
- Będiesz samotna, kiedy się wyprowadzę z domu?
- Nie. Ale będę bardzo za tobą tęsknić.
- Czy myślisz, że się jeszcze zakochasz?
- Jestem pewna, że tak.

Zaczyna się ściemniać. Wracamy do domu. Mały niebieski kwiatek, przygnany wiatrem na brzeg, porywa fala.

- Dużo czasu zajmie posadzenie prawdziwego kwiatu, takiego, który przetrwa - mówię do swojego dziecka. - Przyjdziemy tu z książkami i najróżniejszymi obliczeniami i postaramy się wyhodować roślinę doskonałą, wiecznie kwitnącą, która przyda znaczenia naszemu życiu.

Patrzę na nią. Ciągłe się uśmiecha. I nic nie mówi.

Jest pewna matka w Etiopii, która nikogo nie utuli w ramionach, bo nie dano jej możliwości wyboru. Widziałam, jak do ust spragnionego dziecka podnosi dłoń, wypełnioną brudną wodą.

Jest pewna dziewczynka w Bangladeszu, która wraz z innymi świętowała instalację pompy w swojej wiosce: „Chcę ci pokazać to wszystko, co w moim życiu najpiękniejsze. Mój dom, moją rodzinę i wszystko, co rośnie”.

Jest pewien młody nauczyciel w Kolumbii o promiennym uśmiechu. „Tak, chciałem zostać mnichem, ale niekiedy jest się powołanym do innej służby”.

Jest pewna kobieta w Norwegii, która próbuje zrozumieć.